

PAULINA KIRSCHKE



KOBIETY NA POMNIKI

**Subiektywny przewodnik
śladami kobiet po Wielkopolsce**

Fundacja im. Julii Woykowskiej

**ZADANIE PUBLICZNE JEST WSPÓLFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW
SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO
PROJEKT POWSTAŁ DZIĘKI WSPARCIU SPÓŁKI MAGOVX
I PROGRAMU WZMOCNIONE**



**SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO**

WzmocniONE



Pomysł i opracowanie: Paulina Kirschke

Redakcja: Mikołaj Kirschke

Korekta: Agata Kominiak

Skład i projekt okładki: Szymon Felkel / Saymoon Studio

Fundacja im. Julii Woykowskiej

ul. Wolnica 7/8, 61-764 Poznań

www.woykowska.org

ŚLADAMI KOBIET PO WIELKOPOLSCE

Ile jest pomników kobiet w Poznaniu?

W zasadzie wszystko zaczęło się od tego pytania. Po intensywnych poszukiwaniach okazało się, że jest jeden – prof. Marii Grzegorzewskiej. Mieści się na terenie szkoły na poznańskim Grunwaldzie, więc nie wszyscy mają do niego dostęp. Nie jest okazały, ani zbyt piękny. Ale jest.

Jeden.

Tymczasem pomników czy popiersi mężczyzn jest kilkadziesiąt. Niektóre gigantyczne, jak pomnik Adam Mickiewicza przy placu jego imienia, inne, jak ławeczka Bohdana Smolenia, nowocześniejsze w formie, mniej przytłaczające, a włączające i zachęcające do wspólnej kontemplacji nad kruchością istnienia.

Pomniki mają upamiętniać ludzi, którzy wyszli ponad przeciętność. Pokazywać, że choć odeszli, ich spuścizna jest dla kolejnych pokoleń ważna. Sprawy, o które walczyli, istotne. A zadania, których się podejmowali, popchnęły świat do przodu.

I nie ma wśród nich kobiet.

Kobiety są dojmująco nieobecne – w przestrzeni publicznej, nazwach ulic, placów czy skwerów. Nie ma ich na postumentach, tablicach pamiątkowych i pomnikach. Nie opisują ich dokonań i miejsc z nimi związanych przewodniki, szlaki turystyczne, spacer.

Dlaczego?

Przede wszystkim dlatego, że przez wieki domeną kobiet była przestrzeń domowa, niepubliczna. Wszystko, co wiązało się z nauką, polityką, kulturą było dla nich zupełnie niedostępne. Nie mogły studiować ani się uczyć. Malować czy rzeźbić przez wieki w zasadzie tylko wtedy, gdy robił to mąż czy ojciec i mogły korzystać z ich pracowni. Obecność kobiety w czytelni czy bibliotece publicznej jeszcze w XIX wieku była skandalem. Dziewczyny chcące studiować, zamiast na uniwersytety, wysyłane były do domów dla obłąkanych.

Większość z tym stanem rzeczy się godziła – system patriarchalny wspierany przez tradycję i kościół katolicki wywierał potężny nacisk i określał granice, w których kobiety mogły się poruszać.

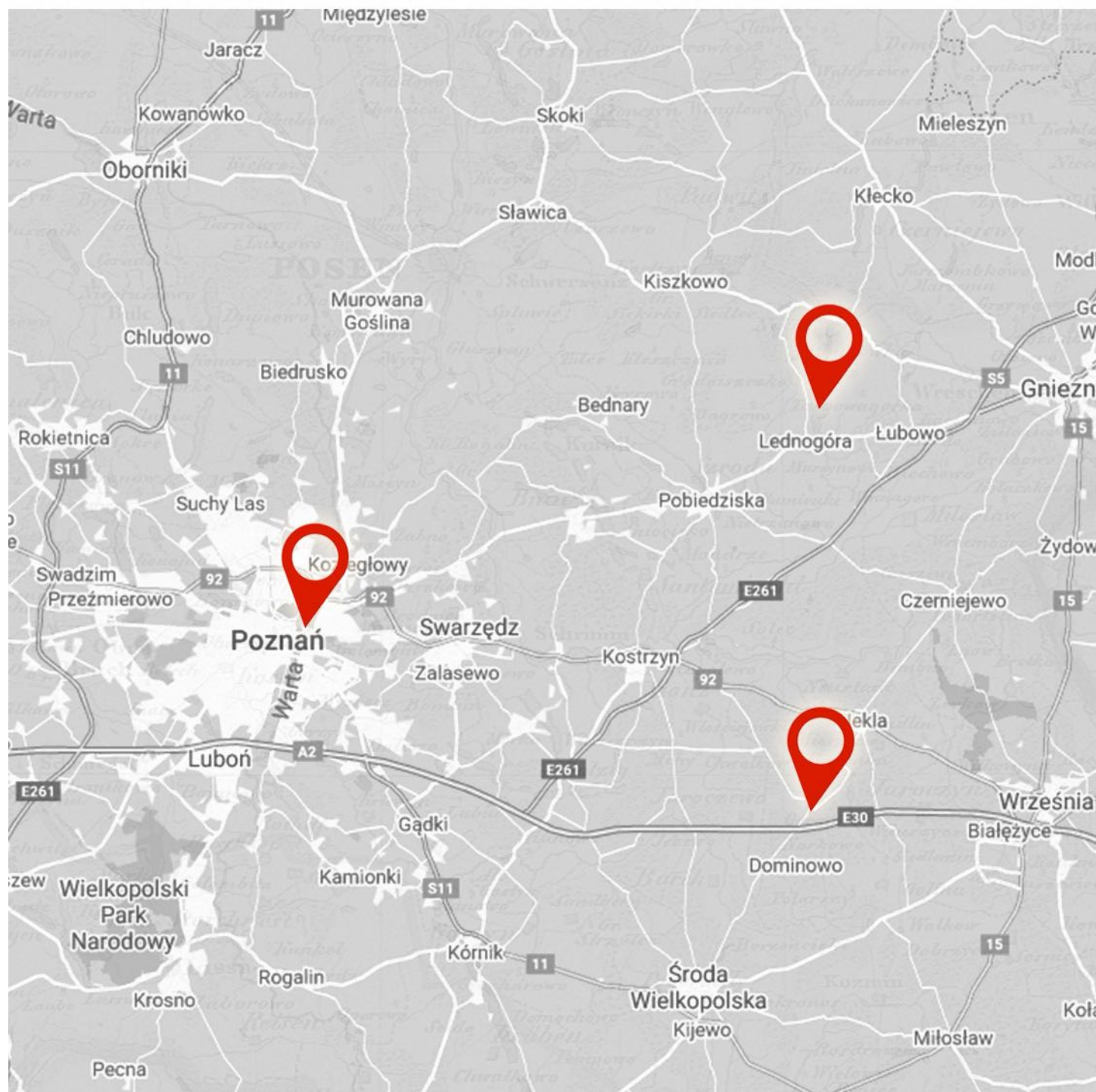
Były jednak i takie, które próbowały znaleźć swój skrawek wolności. Swoje – mniejsze lub większe – miejsce w tej, nieprzyjaznej kobiecym marzeniom i kobiecemu spełnieniu, rzeczywistości. Działy w różnych obszarach – mniej lub bardziej kontrowersyjnych. Za wolność płaciły jednak olbrzymią cenę; większość opisywanych kobiet nie założyła rodzin. Borykały się z samotnością, odrzuceniem, czasami – ostracyzmem społecznym. Ich biografie są poruszające, a siła charakterów i niezłomność godne najwyższego podziwu.

O kilku z nich chcemy opowiedzieć w tej publikacji. Nasz mini przewodnik nie wyczerpuje tematu; nie opisałyśmy wszystkich kobiet, które warto wspomnieć. Do wiedzy o niektórych bardzo trudno jest dotrzeć – źródła się niepełne, albo nie ma ich prawie wcale.

Mamy jednak nadzieję, że ta lektura i – być może – odwiedzenie miejsc, które z naszymi bohaterkami się wiąże, będą dla Was początkiem własnej drogi w poszukiwaniu kobiecych śladów. Jesteśmy przekonane, że w każdej wsi, miejscowości czy mieście jest ich mnóstwo. Trzeba tylko poskrobać patriarchalną skorupkę.

A potem postawić im pomniki. Nawet, jeśli symboliczne.

DOBRAWA



Jedna z niewielu kobiet wymienianych na kartach szkolnych podręczników do historii. Mimo swoich zasług przez długie lata traktowana była w Poznaniu po macoszemu. Podczas mszy świętych w poznańskiej katedrze, w intencji Mieszka I i Bolesława Chrobrego – jej męża i syna – biskupi nawet o niej nie wspominali. A to dla niej Mieszko się ochrzcił i rozstał z pogańskimi żonami. To dzięki niej państwo księcia zaczęło się liczyć na średniowiecznej, europejskiej arenie. To ona przywozła do Poznania złotników i dworskie obyczaje cywilizując nieco pogańskie drużyny pierwszego, historycznego władcy naszych ziem. Ale źródła historyczne są skąpe – niedużo o niej z nich wiemy na pewno. Na szczęście naukowcy, zwłaszcza jedna uczona, byli uparci – chcieli o niej wiedzieć coś więcej.



„Tak naprawdę, to ja jej trochę współczuję” – powiedziała mi prof. Hanna Kócka-Krenz, która naukowo związana jest z Dobrową od dziesięcioleci. To kierowany przez nią zespół archeologów odkrył wreszcie na poznańskim Ostrowie Tumskim relikty palatium książęcego i kaplicy. „Gdzieś tam musi być” – wierzyli archeolodzy od dawna, powołując się na słowa trzynastowiecznej kroniki polsko-śląskiej:

“W stanie najgłębszej rozpaczcy wszedł (Kazimierz Odnowiciel) do kościoła, który Dobrowa ufundowała ku czci Najświętszej Marii Panny na grodzie Ostrów i tam na ołtarzu złożył swój miecz Bogu, Maryi oraz świętym apostołom Piotrowi i Pawłowi”.

Pierwszy na poważnie za poszukiwania palatium wziął się profesor Witold Hensel. Prowadząc wykopaliska w 1946 r. minął się ze ścianą palatium o 20 centymetrów. 20 centymetrów! Profesor Kócka-Krenz ponad pół wieku później miała więcej szczęścia. To dzięki niej wiemy, w którym miejscu Mieszko wybudował swój pałac i gdzie Dobrowa ufundowała kaplicę.

„Trochę jej współczuję, bo kobiety z takich rodów jak ona wolności nie miały wcale, na pewno nie przy wyborze męża. Już chyba więcej możliwości miały proste wieśniaczki. Choć to były tak ciężkie czasy, że dziś trudno nam to sobie nawet wyobrazić” – kontynuuje myśl pani profesor.

I rzeczywiście – Dobrowa, podobnie jak wiele dobrze urodzonych kobiet, była zdecydowanie bardziej narzędziem polityki w rękach ojca, niż ukochaną córeczką, z której zdaniem należy się liczyć. Z uwagi na skąpe historyczne źródła, bardzo trudno ustalić coś na jej temat bezspornie. Nawet to, ile miała lat przyjeżdżając do Mieszka i wychodząc za niego za mąż, budzi wiele kontrowersji wśród badaczy i badaczek. Większość skłania się do wersji, że była młodą kobietą, trochę ponad 20-letnią, gdy wybrała się w długą drogę z Pragi na daleką północ, by zostać żoną pogańskiego władcy. Nie brakuje jednak tych, którzy uważają – za kronikarzem Kosmasem – że była zdecydowanie kobietą w średnim wieku.

Wiemy za to na pewno, że była córką władcy Czech, Bolesława I, który nie bez powodu zyskał przydomek Srogi. Wczesne średniowiecze to nie był czas tolerancji, włączenia społecznego i politycznych negocjacji. To wieki, w których często wygrywał silniejszy, a jeszcze częściej – bardziej bezwzględny. W tym ostatnim Bolesław kontynuował niechlubną tradycję swoich przodków, choć lepiej powiedzieć – przodków. By zdobyć władzę nie cofał się przed niczym, łącznie z zabójstwem swojego brata Wacława, spokojnie udającego się na poranną mszę. Zresztą matka obu braci wcześniej kazała brutalnie zamordować swoją teściową, więc krwawe niesnaski naprawdę nie były na praskim dworze niczym nowym. Można chyba zaryzykować, że taki styl władzy mieli Przemyślidzi – ogniem, mieczem lub sztyletem.

Dobrawa musiała się więc sporo w dzieciństwie i młodości naoglądać. Jeśli dodamy do tego, że Praga w tamtym czasie była największym w Europie targiem niewolników – dorastała w miejscu, które dziś uznalibyśmy co najmniej za niesprzyjające wychowaniu młodych panienek. Może, chcąc oszukać geny, dano jej na imię Dobrawa, czyli Dobra. A może, idąc tropem naszej spolszczonej wersji „Dąbrówka”, miała włosy ciemne niczym dąb. Dziś również tego nie wiemy na pewno.

Nie budzi za to niczych wątpliwości, że około 965 r. przyjechała do Poznania by wyjść za mąż za Mieszka I. Historycy nie mają wątpliwości – żona z Czech, kraju stojącego zdecydowanie wyżej w postępie cywilizacyjnym, musiała mu imponować. I to na tyle, że zostawił dla niej wszystkie swoje poprzednie, pogańskie żony (a miał ich kilka!).

Przemysłodzi byli rodziną chrześcijańską od dłuższego czasu, ich kulturowe i polityczne kontakty ze światem zachodniej i południowej Europy na pewno robiły na Piastach duże wrażenie. Kronikarze są zgodni, że to Dobrawa namówiła swojego męża na chrzest, to ona była inicjatorką tego wydarzenia, do którego doszło już wiosną 966 r.

Podczas trwania małżeństwa, czyli do śmierci Dobrawy w 977 r., utrzymywał się pokój między państwem Mieszka i Czechami. Wynika z tego, że miała wpływ nie tylko na życie religijne swojego męża, ale też na decyzje polityczne.





CIEKAWOSTKA

Podróż z Pragi do Poznania musiała być długa, żmudna i trudna – to ponad 400 km. Dziś przyjmuje się, że w średniowieczu w ciągu jednej doby można było przejechać od 15 km do 20 km. Oczywiście bywały i miesiące, w których i takie tempo było niemożliwe. Historycy szacują, że Dobrawie i jej orszakowi podróż zajęła około miesiąca – kilkadziesiąt osób i wiele wozów nie mogło poruszać się szybko. Do tego na pewno zatrzymywali się po drodze w kolejnych grodach. Dziś najszybsza trasa samochodowa pozwala przemierzyć tę odległość w 5,5 godziny.

POZNAŃ, OSTRÓW TUMSKI

Mieszko swoją poznańską siedzibę, pierwszy murowany budynek w jego państewku, zaczął budować jeszcze przed przyjazdem Dobrawy. Mówi nam o tym... jeden niewielki kawałek drewna. To belka progowa pałacu z dębu ściętego po 941 r. To oznacza, że Mieszko za budowę siedziby godnej władcy zabrał się niedługo potem. Palatium zbudował na wzór rezydencji ówczesnych władców, wzorował się na budowach ze wschodniej części cesarstwa niemieckiego. Czy tam bywał, czy też ściągnął tylko budowniczych, tego nie wiemy. Prawdopodobnie był w 965 w Magdeburgu na spotkaniu z Ottonem I, który wtedy na nowo układał porządek polityczny swojego cesarstwa. Możemy się więc domyślać, że w ten sposób chciał dorównać władcom niemieckim, a zaimponować lokalnym. Pałac miał przekazywać informację: jestem godny władać, a może nawet: jestem równy cesarzowi. Oraz: jestem gotowy na chrześcijańską żonę, by móc wejść do świata do tej pory przede mną zamkniętego, świata wielkiej, europejskiej polityki.

To, że Mieszko ma wielkie możliwości, a jeszcze większe ambicje, zauważył już Ibrahim ibn Jakub, żydowski podróżnik i kupiec, który w połowie X wieku przebywał w Magdeburgu, na dworze Ottona I. Ploteczki, które wymieniał z cesarzem i jego poddanymi musiały dać mu do myślenia, bo zapisał:

A co się tyczy kraju Mesko, to jest on najrozleglejszy z słowiańskich krajów. Obfituje on w żywność, mięso, miód, i rolę orną. Pobieranie przez Mieszka podatki stanowią odważniki handlowe. Idą one na żółd jego piechurów. Co miesiąc przypada każdemu z nich oznaczona ilość z nich. Ma on trzy tysiące

pancernych podzielonych na oddziały, a setka ich znaczy tyle co dziesięcin innych wojowników. Daje on tym mężom odzież, konie, broń i wszystko, czego tylko potrzebują.

CIEKAWOSTKA

Ibrahim ibn Jakub opisał w swojej kronice także inne miejsce, które musiałoby bardzo przemawiać do jego wyobraźni, mianowicie Miasto Kobiet: *Na zachód od Burus (Prusaków) leży Miasto Kobiet. Ma ono ziemie i niewolników, a one (tj. kobiety) zachodzą w ciążę za sprawą swych niewolników. Jeżeli która kobieta urodzi chłopca, zabija go. Jeżdżą konno i osobiście biorą udział w wojnie, a odznaczają się siłą i srogością. Wieść o tym mieście jest prawdą; opowiedział mi o tym Hotto, król rzymski.*



Dziś relikty pałacu i kaplicy drzemają dwa metry pod powierzchnią, z zewnątrz zarys fundamentów wiernie oddaje szklany murek, okalający kościółek Najświętszej Marii Panny. To właśnie troska o tę świątynię, zbudowaną w XV wieku, nie pozwala udostępnić zwiedzającym pozostałości po palatium

i kaplicy. Dzięki pracy archeologów wiemy za to, jak wyglądał pałac w części reprezentacyjnej oraz mieszkanie Dobrawy i jej męża. Parter miał 190 metrów, podzielony był na kilka pomieszczeń, w tym sien, pokój i większą, ponad stumetrową salę, pewnie o funkcjach reprezentacyjnych. Klatka schodowa prowadziła na pierwsze piętro, gdzie mieściły się zapewne prywatne pokoje Mieszka i Dobrawy, a z czasem i małego Bolka (Chrobrego) oraz, być może, innych dzieci pary.

KAPLICA

Dla chrześcijańskiej księżniczki, jaką była Dobrawa, prywatne miejsce kultu musiało mieć niezwykle ważne znaczenie. Wychowana i wykształcona zapewne w klasztorze, na modlitwach na pewno spędzała sporo czasu. Pałacowa kapliczka musiała być więc miejscem wyjątkowym. Dziś, stając w samym środku przestrzeni otoczonej szklanym murkiem, odwzorowującym znajdujące się pod ziemią fundamenty, nie sposób się nie zdziwić – kaplica wybudowana przy pałacium była mała! Miała mniej więcej 10 metrów kwadratowych i – inaczej niż

przy pałacu w Gieczu czy Ostrowie Lednickim – nie była zbudowana na planie koła, lecz krzyża. A to znaczy, że na tle innych, piastowskich kaplic, była zupełnie wyjątkowa. I że raczej stanowiła niezwykle intymne miejsce; jeśli do jej wnętrza wstawilibyśmy stół ofiarny i wyposażenie, trudno byłoby zmieścić więcej, niż kilka osób naraz.

Na tych jednak, którzy dostąpili zaszczytu pomodlenia się w kaplicy, musiała robić olbrzymie wrażenie. Ściany były otynkowane i pokryte malowidłami. Co przedstawiały – nie ma pewności. Wiemy za to, że (co również unikalne na tle innych przedromańskich kościołów) ozdabiała ją także mozaika; archeolodzy znaleźli aż 230 kostek mozaikowych i fragmentów tynków z ich odbiciem. Najbardziej jednak na wyobraźnię (przynajmniej moją) działa coś innego – być może pod jej posadzką pochowana została sama fundatorka, czyli Dobrawa. Miejsca jej pochówku nie zapisał żaden z kronikarzy, a prof. Kóčka-Krenz uważa, że to bardziej niż prawdopodobne; katedra poznańska i gnieźnieńska w 977 r., roku śmierci Dobrawy, nie były jeszcze ukończone. A przyjęto się, że fundatorów i fundatorki chowano w jednym z kościołów, które dzięki nim powstały.



I jeszcze jedno – za każdym razem, gdy jestem w tym miejscu, przypomina mi się ostatnia scena z „Kodu da Vinci”, w której Tom Hanks kłeka przy szklanej piramidzie w Luwrze zdając sobie sprawę, kto spoczywa tuż obok, w krypcie. Oczywiście Dan Brown wszystko zgrabnie zmyślił, ale gest oddający honor kobiecie jest niezwykle ujmujący. My nie mamy pewności, ale możemy założyć, że doczesne szczątki Dobrawy znajdują się gdzieś pod naszymi stopami. Pomyślcie o tym, stojąc w tym wyjątkowym miejscu.



PRACOWNIA ZŁOTNICZA

Czy Dobrawa nosiła się ascetycznie, czy też obwieszana świecidełkami, trudno dziś dociec. Na pewno posiadanie wyjątkowej biżuterii było jednym z przywilejów córki, a następnie żony władcy. Ówczesna Praga słynęła z wielu znakomitych pracowni złotniczych. Stąd wniosek, że w orszaku Dobrawy nie mogło również zabraknąć fachowców w tej dziedzinie. Przy poznańskim palatium mieściła się na pewno pracownia złotnicza – dziś jej miejsce zaznaczone jest drewnianym podestem, przylegającym do zachodniej ściany pałacu. Jak powinno wyglądać wzorcowe miejsce pracy średniowiecznych jubilerów? Na pewno zostało zbudowane zgodnie z zaleceniami zakonnika Teofila, który tak pisał w traktacie „O sztukach rozmaitych ksiąg troje”: „Winno się najpierw wznieść obszerne i wysokie pomieszczenie, którego długość skierowana byłaby ku wschodowi; na

jego ścianie południowej należy wykonać okna, ile się chce i można, tak, by odległość między dwoma oknami wynosiła pięć stóp. Następnie trzeba wydzielić połowę pomieszczenia ścianą sięgającą stropu dla wykonania odlewów z miedzi, cyny i ołowiu; następnie to, co pozostało podzielić się ścianą na dwie części – jedną do pracy w złocie, pozostałą zaś w srebrze.”

We wnętrzu znaleziono ślady spalonego, drewnianego stołu, tygli odlewniczych z kroplami złota, nici, paciorki szklane oraz kilka innych drobnych przedmiotów. Co więcej – znalezione narzędzia świadczą o tym, że w poznańskiej pracowni działali świetni rzemieślnicy, znający się na swojej robocie.

WARTO POSZUKAĆ

GRA O TRON

Relikty fundamentów samego palatium i kaplicy znajdują się pod ziemią, ale na powierzchni też jest coś godnego uwagi. W głąbie, wmurowanym w północny próg kościoła Najświętszej Marii Panny, niektórzy historycy widzą element piastowskiego, kamiennego tronu. Źródła pisane nic nie mówią o kamiennym tronie w tradycji pierwszych Piastów, wspominają za to o nim jako elemencie intronizacji w Czechach. Może Dobrawa opowiedziała o tym atrybucie władzy Mieszkowi, a on uznał to za ciekawy element, godny przeniesienia na nasz poznański grunt? Tron przed kościołem najświętszej Marii Panny pojawia się w źródłach pisanych prawie 300 lat później – według jednego z dokumentów w 1247 r. siedział na nim Przemysław I podczas nadawania praw.



ŚREDNIOWECZNA TEMPERÓWKA

Na jednej z piaskowcowych kostek kamiennych, wmurowanej w ścianę kościoła NMP od strony katedry, widać wyraźnie pionowe, głębokie szczeliny. Według jednej z teorii na tym kamieniu swój oręż ostrzyło poznańskie rycerstwo. Dziś już nie wiadomo, czy rycerze robili to z pobudek czysto praktycznych, czy też wierzyli, że w ten sposób – dzięki wstawiennictwu Najświętszej Panienki, a może i Dobrawy? – ich miecz nabędzie boskiej mocy. Poznański kamień nie jest wyjątkiem, podobne wyżłobienia spotkać można również w murach innych kościołów.



Poznań rozwijał się wokół katedry i Ostrowa Tumskiego do XIII wieku. To wtedy decyzję o przeniesieniu miasta na drugi brzeg Warty podjął właśnie książę Przemysław I. Prawo lokacyjne nadał nowemu miastu 23 kwietnia 1253 r. Czy ze smutkiem pożegnał swój tron? Tego oczywiście nie wiemy. Ostodził sobie na pewno przeprowadzkę, budując okazały zamek już na lewym brzegu rzeki.

GRÓD WCZESNOPIASTOWSKI W GIECZU – REZERWAT ARCHEOLOGICZNY

Giecz dziś to niewielka wioska położona 40 kilometrów na wschód od Poznania. Za czasów pierwszych Piastów – niezwykle ważny ośrodek, wielokrotnie wspominany również później, w kronikach Anonima czy Kosmasa.

Wielkopolskę pokrywała sieć grodów, z których większość Piastowie zbudowali od nowa. Archeolodzy odkryli, że na początku X wieku dokonana się swoista rewolucja i zburzony został porządek społeczny – małe grody zostały planowo zniszczone. „Stare nie istnieje, wprowadzamy nowe porządki”.

okazali w ten sposób współczesnym Piastowie. Wtedy powstały potężne ośrodki w Poznaniu, Grzybowie, na Ostrowie Lednickim i w Gnieźnie. Z jakiegoś powodu oszczędzony przed zniszczeniem został właśnie Giecz, który na pewno był osiedlony przed piastowską rewolucją. Dlaczego? Archeolodzy stawiają, że musiał mieć dla Piastów szczególne znaczenie. Być może był ich rodową siedzibą?

We wczesnym średniowieczu, a na pewno w początkach polskiej państwowości, pojęcie stolicy państwa w ogóle nie istniało. Nie ulega wątpliwości, że wraz ze swoją żoną (w tym również kolejnymi żonami) Mieszko podróżował od grodu do grodu, doglądając swoich włości i dyscyplinując zarządców. Oczywiście niektóre miejsca miały szczególne znaczenie, inne nieco mniejsze.



Historycy nie mają wątpliwości, że Dobrawa w Gieczu, jak i w innych grodach państwa, bywała. Niektórzy wysuwają nawet hipotezę, że silnie ufortyfikowana twierdza w Gieczu była jedną z prywatnych rezydencji władcy. Do tej pory nie udało się jednak znaleźć relikwów funkcjonującej budowli pałacowej. Odkryte przez archeologów kamienne fundamenty to początek ogromnego założenia pałacowego, którego budowę rozpoczęto dopiero w latach 80. X wieku. Nigdy jej – z nieznanym nam przyczyn – nie dokończono; prace porzucono na etapie fundamentów właśnie. Pozostałości można dziś oglądać zaraz po wejściu na teren rezerwatu archeologicznego – długi na 47 metrów zarys budynku z okrągłą kaplicą po stronie wschodniej dają wyobrażenie o jego planowanej potęgze.

MUZEUM I OSADA EDUKACYJNA

Myślicie, że charmsy to wynalazek firmy Pandora? Ależ skąd! Takie koraliki nosiły już kobiety we wczesnym średniowieczu! Na terenie rezerwatu znajduje się muzeum z wystawą stałą. Warto obejrzeć przede wszystkim pozostałości ozdób i biżuterii, odkrytych podczas prac wykopaliskowych. Niektóre z nich są niezwyklej urody; większość z powodzeniem można by nosić również dzisiaj. Zaraz przy parkingu, a przed wejściem na teren grodu, historycy wybudowali dla nas, zwiedzających, osadę. Dzięki temu zdecydowanie ułatwili nam wyobrażenie sobie, jak wyglądała i funkcjonowała wczesnośredniowieczna wieś. Zaraz po przekroczeniu bramy głównej trafimy na chatę zielarki – bardzo ważnej osoby w każdej społeczności. Zbierane, a może i częściowo uprawiane w przydomowym ogródku rośliny, miały szerokie zastosowania, nie tylko jako przyprawy średniowiecznych potraw! Przydawały się jako barwniki do odzieży, do leczenia i... magii. W czasach pierwszych Piastów, jak zresztą i wiekach późniejszych, magia i czary towarzyszyły ludziom każdego dnia. Nie tylko dlatego, że chrześcijaństwo bardzo powoli zdobywało serca i dusze ówczesnych. Wiara w siły natury i kontrolujących ją bogów i boginie była ludziom zdecydowania bliższa niż nowa religia politycznych elit.

OSTRÓW LEDNICKI

Ten leżący między Poznaniem i Gniezmem gród to zdecydowanie jedno z najważniejszych miejsc na mapie państwa Mieszka I. Zbudowany został na największej wyspie lednickiego jeziora, zamieszkiwanej już w starszej i środkowej epoce kamienia. Dla opowieści o Dobrawie gród lednicki ważny jest jednak z innego powodu; odkryte w pałacowej kaplicy baseny chrzcielne mogą sugerować, że to właśnie tu, w Wielką Sobotę 966 r., odbył się chrzest Mieszka. A pałac, otoczony wodami jeziora, wydaje się idealnym miejscem na letnią rezydencję władcy. Może właśnie tu urodził się Chrobry?

Na terenie dzisiejszego grodziska obejrzeć możemy m.in. pozostałości potężnych wałów obronnych i pałacu książęcego z kaplicą.

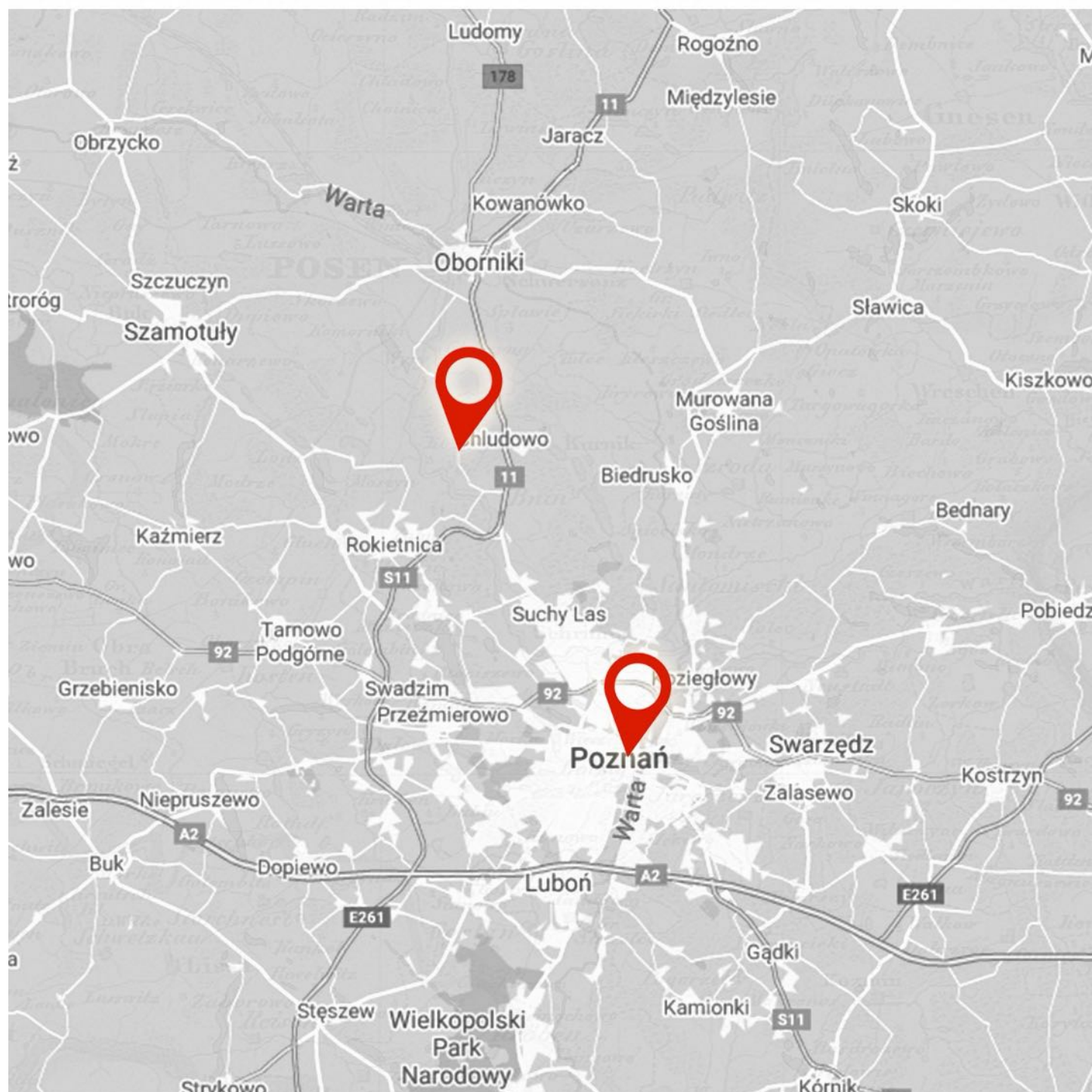
CIEKAWOSTKA

Najważniejszym przedmiotem liturgicznym znalezionym na terenie lednickiego grodu jest z pewnością stauroteka, relikwiarz drzewa Krzyża Świętego, czyli mówiąc wprost – pudełko, w którym przechowywano nieduże kawałki drewna (prawdopodobnie dwie drzazgi) z – jak wierzone – krzyża, na którym umarł Chrystus. Uczeń chcą w niej widzieć pamiątkę chrztu, być może dar Ottona I dla Mieszka I.



Ta daleko idąca hipoteza o funkcjonowaniu stauroteki jako daru z okazji chrztu Mieszka I ma jednak, moim zdaniem, dość istotne umocowanie w realiach Ostrowa Lednickiego. Myślę tutaj o odkrytych na Lednicy, a jedynych tego rodzaju na ziemiach Polski, urządzeniach do chrztu. Związane one były z wnętrzem kaplicy przypałacowej tego księcia, a więc z pewnością to wyłącznie panujący był ich użytkownikiem, natomiast tak szczególnie przedmiot jak stauroteka mógł mieć wysoce prawdopodobny związek z aktem oficjalnego przyjęcia chrztu przez Mieszka - tłumaczy historyk, Janusz Górecki, badacz stauroteki.

BIBLIANNA MORACZEWSKA



„Widzę, do jakiej próżniackiej klasy należę, a są w mojej klasie ludzie, którzy dlatego właśnie, że są próżniakami, myślą, że są wyższymi od ludzi pracowitych, jakby szerszenie wynosiły się nad pszczoły” – pisała Bibianna Moraczewska w swoim pamiętniku. Jej osąd ziemiaństwa pewnie i był słuszny, choć ona sama daleka była od próżnowania. W zasadzie można zaryzykować twierdzenie, że w Wielkim Księstwie Poznańskim trudno było o bardziej pracowitą, zaangażowaną i aktywną kobietę. Była dziennikarką i pisarką – pisała powieści, ale również podręczniki historii polskiej. Przemycatała do zaboru rosyjskiego książki i ulotki polityczne. Założyła Towarzystwo Pomocy Naukowej dla dziewcząt polskich, by dać szansę najbiedniejszym dziewczynom na porządną pracę i godne życie. Podczas powstania poznańskiego w 1848 r. prowadziła we własnym domu biuro i kasę działającego ze szwajcarską precyzją komitetu stworzonego przez kobiety, niosącego pomoc rannym powstańcom i ich rodzinom.

ZIELĄTKOWO

Bibianna urodziła się 27 listopada 1811 w niewielkim dworku szlacheckim w Zielątkowie (dziś to wieś w gminie Suchy Las, 25 km na północ od Poznania). Była najmłodszym dzieckiem w całkiem sporej, średniozamożnej ziemiańskiej rodzinie – miała jeszcze pięcioro braci i siostr. Przez większość życia największa bliskość łączyła ją z najstarszym bratem, Jędrzejem. Rodzice musieli dość szybko się zorientować, że Bibianna jest niezwykle inteligentną i głodną wiedzy dziewczynką – na lekcje chodziła razem z braćmi, co nie było w XIX wieku wcale takie popularne.

Po śmierci rodziców Panna Bibianna (jak nazywano ją w Poznaniu) i Jędrzej zarządzali wspólnie majątkiem. Prowadzili dom otwarty, który stał się miejscem wielu dyskusji i sporów politycznych i ideowych. Częstymi gośćmi byli Napoleon Kamiński i Antoni Woykowski, wydawcy i dziennikarze. W prace redakcyjne angażował się również Moraczewski. Z czasem pisać zaczęła także Bibianna, najpierw do „Dziennika Domowego”, pisma dla kobiet i pisanego przez kobiety (choć redaktorem był oczywiście mężczyzna, wspomniany już Napoleon Kamiński), później do kolejnych tytułów.

Napisanie pierwszej powiastki było dla Bibianny wielkim przeżyciem.

Jeszcze większym – przeczytanie jej bratu, który miał razem z innymi redaktorami zdecydować, czy tekst zostanie wydrukowany. *„Dziś rano powiedziałam sobie, że mu pójde odczytać. Po wypiciu kawy, uczesaniu się, wzięłam powiastkę żeby iść, ale serce tak mi gwałtownie bić zaczęło, że musiałam usiąść dla spoczynku; poszłam na górę, ale kiedyś klamkę od Jędrzeja drzwi schwyciłam, znów mi strach ogarnął, schroniłam się do biblioteki i choć dzisiaj zimno nie żartami, mnie jednak było tak gorąco, jak w upał”* – napisała w styczniu 1841 r. Opowiadanie spodobało się Jędrzejowi („był kontent z mojej powiastki, znalazł coś więcej, niż się spodziewał; powiedział mi, że prawie nie ma nic do poprawienia, jest dobra”) tekst został wydrukowany. Bibianna nie była z niego do końca zadowolona – po poprawkach cenzora („zamiast „wolność ludu” wsadził „swoboda braci!”) i samego Kamińskiego („jam napisała – odskoczył od kraty, a on wsadził „odszedł”) powieść straciła według niej siłę wyrazu. Nie zniechęciło jej to jednak to pisanie – wprost odwrotnie. Gdy rodzeństwo pod koniec 1840 podjęło decyzję o sprzedaży Zielątkowa, Bibianna zapisała *„Wolę żyć w mieście, bo to gospodarstwo zabija mi dużo czasu, nie mam chwil wolnych do pisanie, a ja taką czuję tego potrzebę.”*

CIEKAWOSTKA

Dziś to, co zostało z dworku w Zielątkowie nie prezentuje się najlepiej. Z budynku została tylko część, wielokrotnie przerabiana. Park, po którym przez prawie trzydzieści lat życia przechadzała się Bibianna, znając i kochając „każdy kamień, każde drzewo”, w zasadzie nie istnieje. Warto wybrać się jednak na spacer drogą prowadzącą przez pola. W jesienny poranek można tam spotkać sarny i zające, a jeśli ma się szczęście – klucz gęsi wybierających się na południe Europy.



PAMIĘTNIK

Bibianna była niezwykle uważną i bystrą obserwatorką. Swoje przemyślenia skrupulatnie opisywała. Zachował się jej pamiętnik, wydany przez rodzinę w 1911 r.

Opisuje w nim swoje codzienne życie w Zielątkowie. Opowiada, kto do nich przyjechał i gdzie ona bywała. To jednak nie tylko kronikarskie zapiski, ale też opowieść o kondycji poznańskiego ziemiaństwa pod pruskim zaborem i nastrojów społecznych wtedy panujących. Moraczewska oburza się w nim na przykład na Józefa Ignacego Kraszewskiego, piszącego, że „arystokracja być musi, to najpiękniejsza częśćka narodu”. Irytuje ją Kamiński, który, ogłaszając w prasie powstanie „Dziennika Domowego”, nazywa go pismem dla „kobiet i dzieci”. Razi ją snobowanie się w towarzystwie na rozmowy tylko po francusku:

„Wczoraj byliśmy w Objezierzu na imieninach Turny. Było przeszło 40 osób, tańczyli na zabój. Ciągłe tańczył ze mną Ludwik Kościelski i ciągle mówił po francuzku; a mnie, choć nie mówię źle, braknie czasem słowa. Gdyby był mówił po polsku, to bym lubiła, bo to przyjemny człowiek, ale że musiałam ciągle po francuzku mówić, przekletałam go w myśli. Bo z cudzoziemcem to co innego, ale z Polakiem to ma minę popisywania się, a popisujący się z rzeczą niedoskonałą, to nie uchodzi”

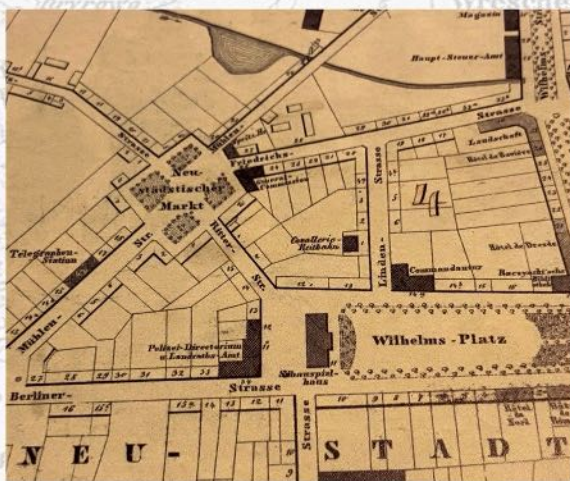


CIEKAWOSTKA

Na przykładzie Zielątkowa można prześledzić, jak zmieniała się nazwa tej samej miejscowości na przestrzeni wieków, która pierwotnie pochodzi prawdopodobnie od rodziny Zielątkowskich. W 1394 r. było to Szelantkowo, w 1400 r. – Zelantkowo, w 1580 r. – Żelątkowo, w latach 1910-1918 – Treskowhof, w latach 1918-1939 – Zielątkowo, w okresie II wojny światowej – ponownie Treskowhof, a po 1945 – ponownie Zielątkowo.

POZNAŃ

Moraczewscy kupili w Poznaniu kamienicę przy ulicy Berlińskiej 32 (Berliner Strasse). To dziś ścisłe centrum miasta – ulica 27 Grudnia. Wtedy, w pierwszej połowie XIX wieku ulica należała do tzw. Neu Stadt, części miasta wybudowanej już przez Niemców, między Placem Wilhelmowskim (dziś Wolności) a murami fortyfikacji. Kamienica Moraczewskich nie przetrwała do naszych czasów; wtedy stała w gęstej miejskiej zabudowie, dziś nie ma po niej śladu.



Pod koniec pierwszej połowy XIX wieku mieszkanie Moraczewskich było jednym z najważniejszych salonów Poznania – „odwiedzały Moraczewskich prawie wszystkie osobistości postępowe, w ruchach ówczesnych lub piśmiennictwie udział mające, które w Poznaniu mieszkaly lub przejeżdżając, krócej lub dłużej gościły”, pisał Marceli Motty w swoich „Przechadzkach po Poznaniu”.

W czasie powstania poznańskiego w 1848, lokalnego odprysku przetaczającej się przez Europę Wiosny Ludów, Bibiana wraz z innymi poznaniankami założyła Komitet Opieki nad Rannymi, którego działalność przemysłana została z niezwykłą precyzją. Składał się z dyrekcji (w tym kasjerki, Bibiany właśnie) i kilkudziesięciu opiekunek w Poznaniu i wszystkich powiatach Wielkiego Księstwa. Każda z nich miała pod swoją opieką kilka ulic lub miejscowości – ich zadaniem było zbieranie składek, kupowanie lekarstw i środków opatrunkowych dla rannych, wspomaganie finansowo tych rodzin, które najbardziej tego potrzebowały. Ta konspiracyjna i charytatywna praca wiązała się z olbrzymim ryzykiem – pomaganie powstańcom groziło najsurowszymi karami.

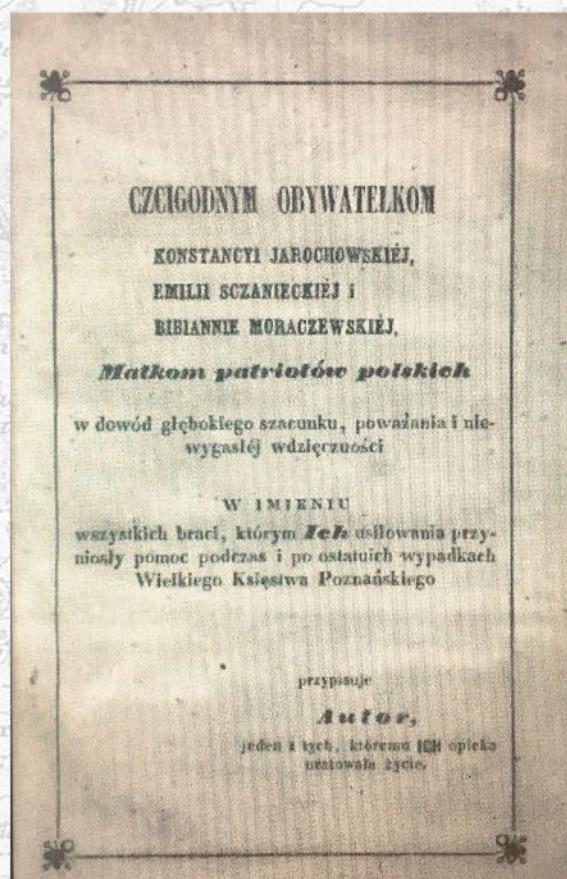
CIKAWOSTKA

Każda ulica stosownie do wielkości ma mieć dwie, trzy lub cztery Opiekunek. Te mają się zajmować:

1. Podzieleniem dokładnym pomiędzy siebie domów na ulicy, gdzie uczęszczać z prośbami i w ogóle szukać pomocy w działaniu swoim.
2. Zbieraniem składek i potrzeb szpitalnych.
3. Pielęgowaniem i szczegółowym dozorem domów, gdzie ranni leżeć będą. Wolno im w razie potrzeby dobierać pomocniczki stałe, które by z gorliwością i miłością odpowiadały tym świętym obowiązkom.
4. Dwa razy na tydzień winne zdać sprawę siostrze Dyrekcji swego oddziału, z swych czynności, zasobów i odnosząc do kasy pieniądze uzbierane, zdawać rachunek z wydanych.

(tekst oryginalny z: Instrukcja dla siostr komitetu rannych na powiatach)

Powstańcy zdawali sobie sprawę z poświęcenia kobiet. Zachował się poruszający tego dowód – „Zbiór modłów narodu polskiego podczas pokutnej jego niewoli” napisany i wydany przez Walentego Stefańskiego, konspiratora, ale też drukarza i księgarza. Na tytułowej stronie autor zamieścił dedykację: „Czcigodnym obywatelkom: Konstancyi Jarochońskiej, Emilii Sczanieckiej i Bibiannie Moraczewskiej, matkom patriotów polskich, w dowód głębokiego szacunku, poważania i niewygastej wdzięczności (...) przypisuje Autor, jeden z tych, któremu ICH opieka uratowała życie.”



ENTUZJASTKA EDUKACJI

Jeszcze mieszkając w Ziełatkowie zwierzyła się przyjacielowi, że będzie pisać do „Dziennika Domowego”. Ten zasugerował, że powinna zająć się emancypacją kobiet. „Myśl niewoli kobiet i ich wyswobodzenia od wielu lat we mnie spoczywała, ale nie myślała, żeby coś takiego pisać. Gdybym była zamężną, byłabym o wiele śmielszą, ale tak, wystawię się na szyderstwo, że stara panna, co męża nie może dostać, myśli o emancypacji. Trudno, 18-letnia nie może pisać. Ale ja wzniosę się nad wszystko, bo czuję potrzebę wyrzucenia okruszyn moich myśli dla ludzi.”

Polki nie miały szczęścia do ruchów emancypacyjnych. Zawsze okazywało się, że jest coś ważniejszego do zrobienia, niż myślenie o równych prawach dla kobiet i mężczyzn – walka o ojczyznę. Niemki, również te mieszkające w Poznaniu, miały więcej okazji by domagać się swoich praw. Dla Bibiany równouprawnienie było jednak niezwykle ważne. Dlatego włączyła się do ruchu kobiecego, nazwanego potem przez Narcyzę Żmichowską „Entuzjastkami”.



Kobiety zajmowały się edukacją patriotyczną i zbieraniem funduszy, ale też przemycaniem zakazanych książek i ulotek propagandowych między zaborami. Entuzjastki uważały, co było niezwykle bliskie Moraczewskiej, że kobiety mają takie samo co mężczyźni prawo do głoszenia swoich poglądów (również publicznie) oraz do edukacji. To ostatnie przekonanie doprowadziło Bibianę do utworzenia w Poznaniu Towarzystwa Pomocy Naukowej dla dziewcząt polskich. Towarzystwo fundowało stypendia pannom chcącym się uczyć na: ochroniarki, lopekunki w sierocińcach, wiejskie gospodynie, krawczynie, modniarki, szmuklerki (rzemieślniczki zajmujące się wyrobem materiałów pasmanteryjnych), introligatorki, bony, buchalterki, kasjerki, muzykuski, rzeźbiarki, malarki i rysowniczk. Chodziło o to, aby biednym dziewczynom dać możliwość nauki zawodu, a co za tym idzie – samodzielnego zarabiania, stanowienia o sobie i utrzymania się.

Pod koniec życia Bibiana Moraczewska mieszkała samotnie przy ulicy św. Marcin 78 w Poznaniu.

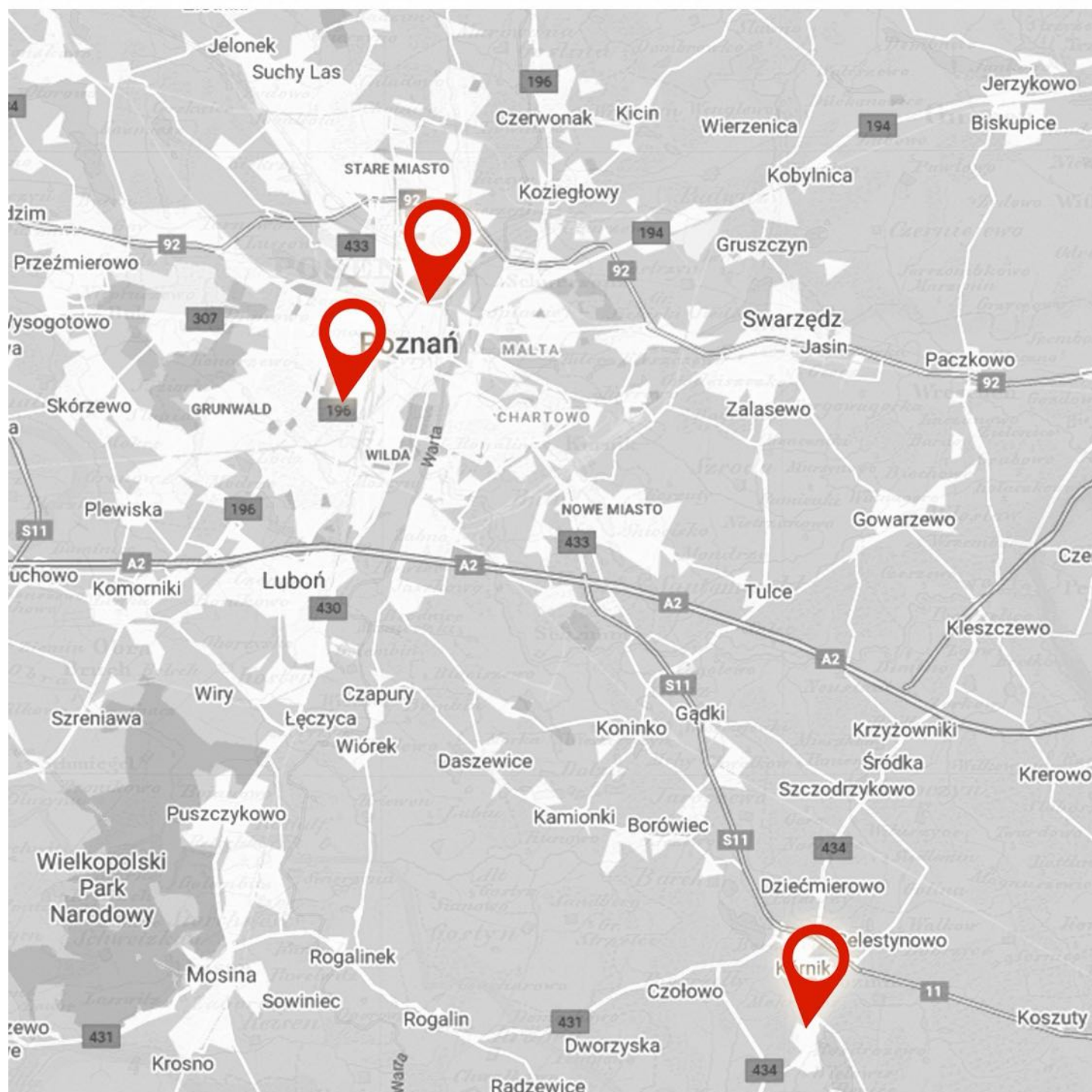
„Dom, w którym mieszkam jest naprzeciwko kościoła św. Marcina, każde uderzenie dzwonu rozlega się u mnie po pokojach, a za każdą razą myślę o moich zmarłych.” Dojmująca tęsknota za bratem, który zmarł ponad 30 lat przed nią, towarzyszyła jej każdego dnia. Powoli odchodzili wszyscy jej bliscy. W pamiętniku, prowadzonym coraz rzadziej, opisywała jednak z tą samą co dawniej wnikliwością otaczającą ją rzeczywistość: bankructwa ziemiaństwa prowadzącego zbyt hulawczy tryb życia czy tragedię upadku powstania styczniowego.

Zmarła w swoim domu, 7 października 1887 r.

„Gasnąc powoli bez cierpień, z wszelką przytomnością, zdziwiła się z pewnym filozoficznym humorem, powiedzielibyśmy, gdy nastąpiła smutna konieczność oznajmienia jej zbliżającego się końca. „Wszystko się na świecie kończy, skończyło się i z Bibianą Moraczewską” – odpowiedziała”

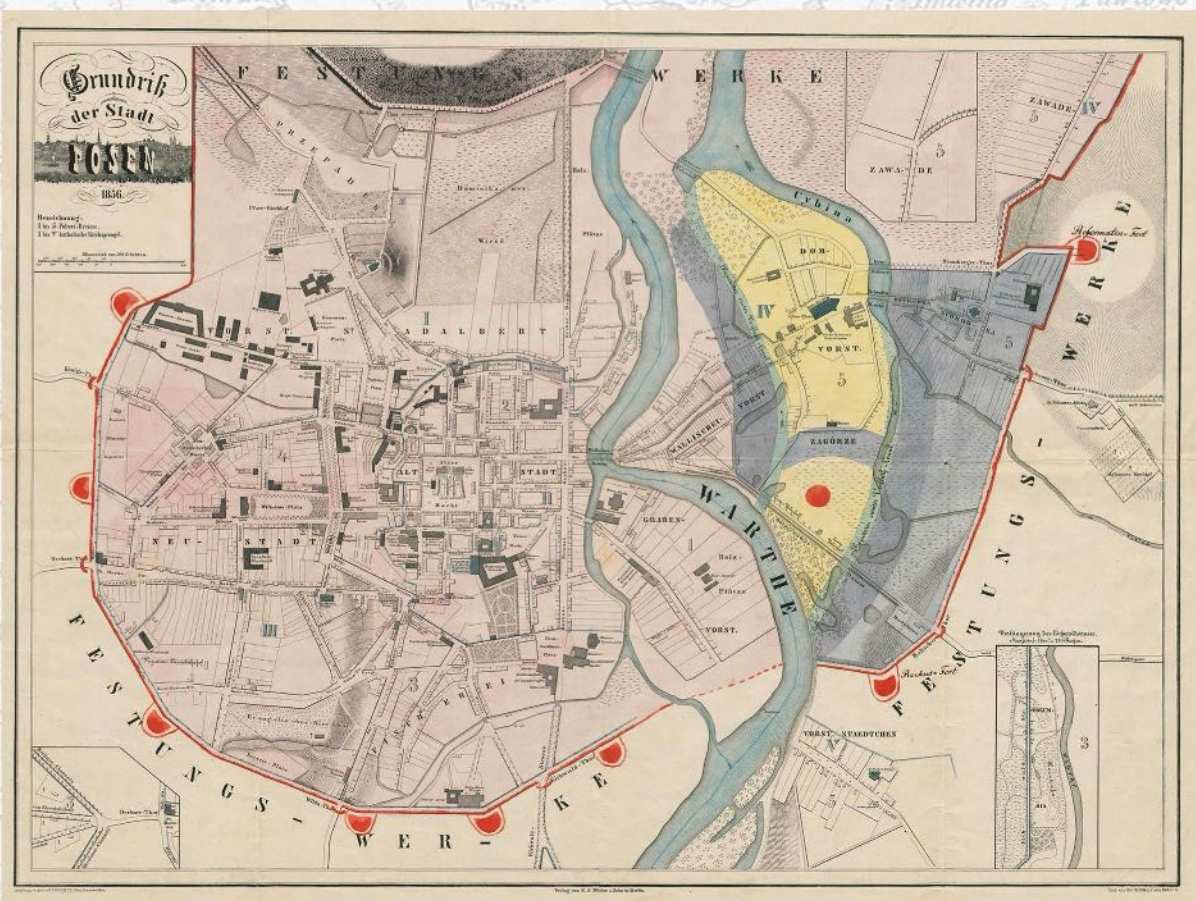


JULIA WOYKOWSKA



Dziewiętnastowieczny Poznań różnił się bardzo od tego dzisiejszego. Przede wszystkim był ściśnięty okalającymi go murami, fortyfikacją, postawioną przez władze pruskie. W czasach, gdy wiele miast europejskich zmieniało swój wygląd budując przyszły charakter, Poznań stał się miastem, który miał służyć przede wszystkim celom militarnym. W zasadzie jego powierzchnia ograniczała się do jednej dzisiejszej dzielnicy Stare Miasto. Poznań był twierdzą – z murem, fosami i bramami. Z olbrzymim fortem Winiary, największym w ówczesnej Europie, górującym nad miastem. Z obszarami, na których obowiązywał całkowity zakaz budowy czegokolwiek, nawet drewnianych płotów. Poznań nie miał szans na rozmach.

korrespondowała z autorem tego pisma o zacięciu liberalnym i demokratycznym. Po drugie, planowała założenie pierwszej prywatnej szkoły średniej dla dziewczyn. Szkoły, w której młode kobiety będą uczyć się czegoś więcej, niż bycia szczebioczącą po francusku – ku ucieście rodziców – salonową lalą. Chciała w niej uczyć dziewczynki, jak być świadomymi obywatelkami, a nie kukłami. Poznań nie był jednak na Julię gotowy. Po kilku miesiącach szkołę zamknięto. Poznańskie mieszczaństwo, a szczególnie właścicielki pensji dla dziewczyn były bardzo zadowolone z takiego stanu rzeczy. „Kto tę osobę miał honor widzieć, to może śmiało powiedzieć, że ona z tych dziewczyn porobi wariatki”.



W tym właśnie mniej więcej czasie przyjechała do Poznania 24-letnia nauczycielka, Julia Molińska. Urodziła się i wychowywała w Bninie, niewielkiej wsi koło Śremu. Przyjechała do Poznania w dwóch celach. Po pierwsze, chciała poznać Antoniego Woykowskiego, młodego dziennikarza i wydawcę „Tygodnika Literackiego”. Od kilku miesięcy

Skąd taka opinia? Spróbujmy sobie wyobrazić przeciętną mieszkankę, poznaniankę z dobrego domu, XIX-wieczną elegantkę. Jedno jest pewne – do dzisiejszego tramwaju raczej by nie weszła. Przede wszystkim przez niewyobrażalnie ogromną spódnice, na początku wieku nakładaną na kilka warstw halek, później na krynolinę, czyli przedziwną konstrukcję, swego rodzaju rusztowanie, na

którym trzymały się dolne części sukni. Z biegiem lat robi się nieco lżej – w spódnicy da się przejść przez drzwi na wprost, nie trzeba wchodzić do pokoju bokiem. Ale suknie mają turniurę, czyli spięte z tyłu zwoje materiału, które spływają tworząc swoisty ogon. Do tego obowiązkowo gorset, często z listewką wszytą z przodu, by suknia się nie marszczyła. Siadanie czy schylanie musiało być koszmarem.

No i buty na obcasie (na szczęście w połowie wieku zaczęto produkować oddzielne na lewą i prawą nogę). Dzieło zwieńczały kapelusiki, czepki, kapturki czy budki zdobione piórkami, girlandami, różami, kwiatami i mnóstwem wstążek. I na to wszystko wchodzi ona – Julia Molińska. Cała na czarno, bo takie suknie nosiła, ozdobione tylko białym kołnierzykiem. Choć nie zachowało się ani jedno zdjęcie Julii, ani jeden jej portret, wiemy, że swoim wyglądem bulwersowała Poznań. Nosiła krótkie włosy. Zamiast wykwintnego kapelusika – konfederatkę, czyli męską czapkę z daszkiem. A poza tym, niczym George Sand, paliła cygara. Była emancypantką jak się patrzy i tego nie mogły znieść poważne poznańskie matrony.



ULICA EWARYSTA ESTKOWSKIEGO

„Tygodnik Literacki”, „Pisma dla nauczycieli ludu i ludu polskiego” – to tylko niektóre tytuły pism wydawanych wspólnie przez małżeństwo Julii i Antoniego Woykowskich. Ewaryst Estkowski był jednym z przyjaciół i współpracowników pary. Przede wszystkim zależało im na zmianach w oświacie.

„Woykowscy, Libelt, Estkowski i inni wołają o reformę szkół. Szkoła ludowa miała przyjąć ludowi z pomocą. Miała nauczyć chłopca racjonalnej gospodarki”.

Jeden z recenzentów monografii Julii Woykowskiej, pisał w 1938 r.: „Dzisiejszego czytelnika uderza w postaci Woykowskiej – obok jej dążeń emancypacyjnych oczywiście – różnokierunkowość jej zainteresowań, zmierzających jednak do jednego celu, mianowicie: do postępu. Niezwykłym w istocie zjawiskiem jest kobieta, która już to tworzy pieśni ludowe o radykalnym zabarwieniu, już to w zastępstwie męża samodzielnie prowadzi redakcję „Tygodnika Literackiego”, by wreszcie zająć się pisaniem elementarza dla dzieci wiejskich.”



CIEKAWOSTKA

Fortyfikowanie Poznania trwało przez ponad 40 lat. Na pomysł, by z miasta zrobić twierdzę wpadł generał Karl von Grolman – szef pruskiego Sztabu Generalnego, gdy przyjechał do Poznania w maju 1816 r. „Poznań musi być twierdzą; będzie ona świadczyć o tym, że Prusy za żadną cenę nie odstąpią tak potrzebnych im ziem i jednym uderzeniem zetrą w pył odwieczne intrygi i podstępny Polaków” – pisał generał w raporcie.

Budowa ogromnych murów, kilkunastu bram wjazdowych, fortów trwała do lat 60 tych i pochłonęła olbrzymie środki – około 11,5 miliona talarów. W związku z tym pomysłem w Poznaniu stacjonowały setki żołnierzy. W roku 1848 było to 3000; w 1885 – 4210, a w 1913 nawet 10 000 żołnierzy.

Już w 1902 zaczęto fortyfikacje jednak... rozbierać – władze pruskie zdały sobie sprawę, że przestarzałe już umocnienia do niczego się nie przydadzą, a jedynie hamują rozwój gospodarczy, demograficzny i urbanistyczny miasta.

STARY RYNEK

To tutaj, w kamienicy odziedziczonej przez Antoniego po ojcu, mieściło się mieszkanie Woykowskich i redakcja „Tygodnika Literackiego”, czasopisma przez nich tworzonego i wydawanego. To również tutaj, w ich salonie zbierali się ludzie o rewolucyjnych i postępowych, jak na XIX wiek, poglądach. Nie ma pewności, który dokładnie był to dom. Wiemy, że w 1792 r. do babci Woykowskiego należała kamienica z numerem 27. Z kolei już w 1935 r. księga adresowa miasta notuje winiarnię i destylarnię Woykowskich pod numerem 34. Oba te budynki znajdowały się pośrodku rynku, na tyłach wagi i ratusza, tam gdzie dziś mieszczą się Wielkopolskie Muzeum Wojskowe i Galeria Miejska „Arsenał”.



Jak wyglądał poznański Stary Rynek w połowie XIX wieku? Julia mogła na nim codziennie obserwować życie pracującego Poznania. Szczególnie w dni targowe rynek tętnił życiem. Przekupki, straganiarki, służba domowa, panny służące, stangreci, kucharze... wszystkich ich mogła spotkać zaraz po przekroczeniu progu swojego domu. Okolice żyła od świtu do nocy. Śledziowe budki czyli ludowe garkuchnie oferujące prażące się cały dzień na patelniach (ach, te aromaty) mięsiva, kapusty i kartofle oblegane były przez zgłodniałych wyrobników. Obok budki chlebowe z ulubionym przez poznaniaków chlebem „wodnym” (przed upieczeniem kapano go w wodzie), jatki mięsne, targ owocowo-warzywny, gwar, hałas i tłok. Nic dziwnego, że uczestnicząc codziennie w trudach życia poznańskiego pospólstwa, nie miała wielkiego szacunku dla bogatego

i często próżnego mieszczaństwa. Jej zdecydowane poglądy, bezkompromisowość i brak respektu dla norm społecznych nie zjednywały przyjaciół wśród inteligencji. Zdarzało się, że kamienica, w której mieszkali Woykowscy, obrzucana była kamieniami i błotem. „Jestem za postępem prawdziwym – nienawidzę fanfaronady postępowej. Ukochawszy Prawdę bezwzględna i sprawiedliwość nie zbaczam z tej drogi. Dla najlepszego celu nigdy nie poświęcę pióra mego fatszami – przed okolicznościami nigdy nie schylę czoła – sądu stronnego nie dam” – pisała w jednym z listów do przyjaciela.

ULICA RYBAKI

Julia Woykowska żyła i mieszkała w Poznaniu tylko przez dekadę. Te lata pełne były wzlotów, ale też mnóstwo w nich było upadków. W 1844, na skutek długów, sprzedano na licytacji dom należący do Woykowskich. Oni sami zamieszkali w nędznej chacie na Rybakach, bez przyjaciół i bez pieniędzy. Julia jednak nie poddawała się – to tutaj pracowała nad „Dziejami polskimi od Lecha aż do śmierci królowej Jadwigi”.

ULICA JAKUBA KRAUTHOFERA (KROTOWSKIEGO)

W sierpniu 1848 Julia wraz z mężem pojechali do Berlina, by zacząć przekonywać pruskich oficjeli do zwolnienia z poznańskiego więzienia Jakuba Krauthofera. Krauthofer (z pochodzenia Niemiec, zmienił razem z rodziną nazwisko na Krotowski podkreślając w ten sposób, że wybiera polskość), poznański adwokat, został aresztowany po tym, jak w trakcie powstania antyniemieckiego (wydarzeń zainspirowanych trwającą w Europie Wiosną Ludów) ogłosił w Mosinie utworzenie Rzeczypospolitej Polskiej, mianował burmistrzem Polaka, zażądał od sztabu generalnego wojsk pruskich wypuszczenia na wolność jeńców polskich. Ustanowił nowe władze miejskie w Kórniku oraz Rogalinie. Na pieczęci, którą się posługiwał obok orła widniał napis: „Polska powstająca”. Krotowski urodził się tak jak Julia w Bninie, był od niej o 10 lat starszy. Pewnie się znali – jeśli nie z czasów bnińskich, to na pewno już z Poznania.

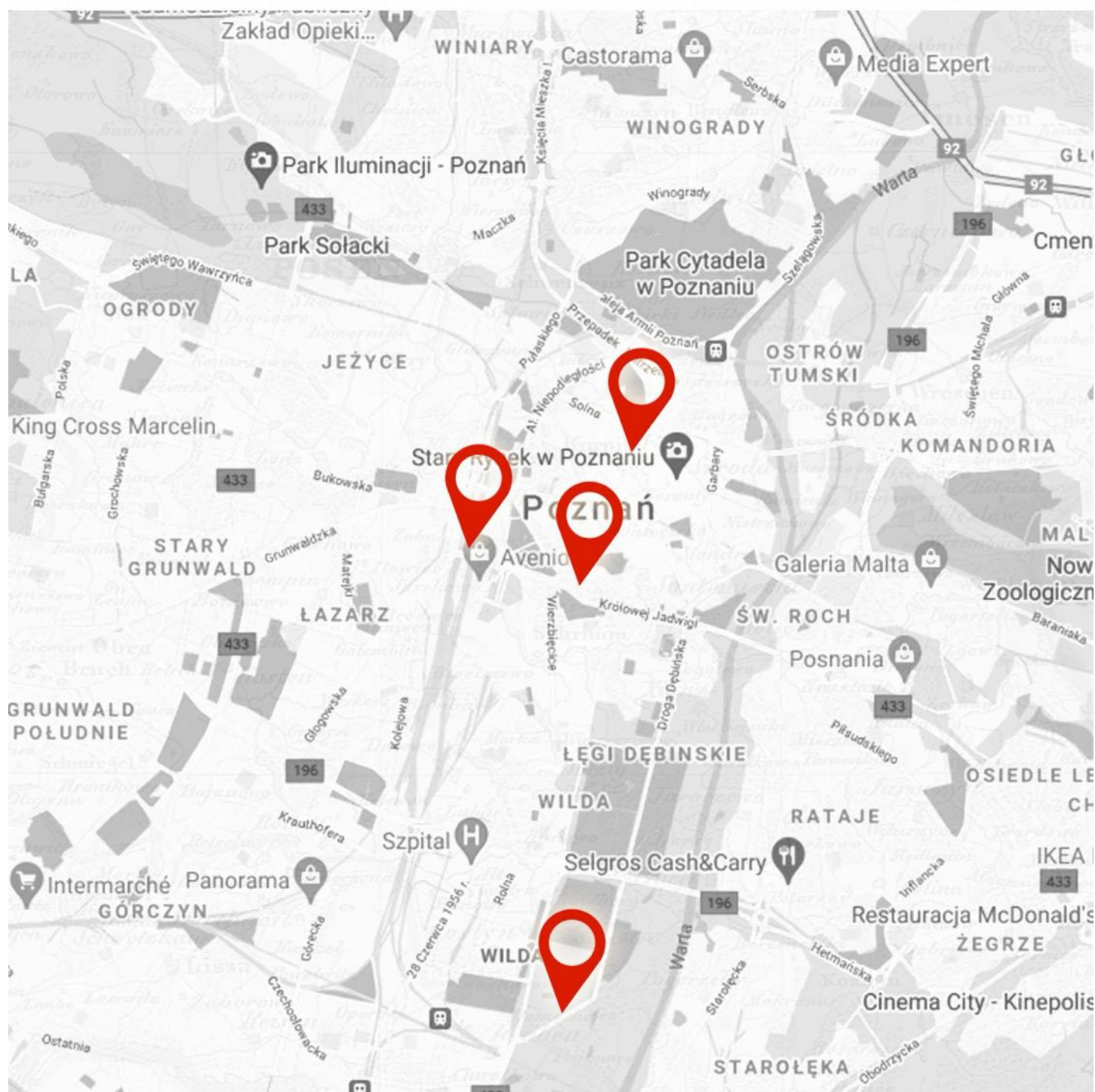


Woykowska szukała różnych ścieżek, by przekonać władze do uwolnienia przyjaciela. Prezes sądu okazał się nieprzejednanym wrogiem Polaków, Julia odwiedzała więc gabinety ministrów – konferowała z ministrem spraw wewnętrznych Friedrichem von Kühlwetterem. Minister sprawiedliwości Karl Anton Maercker jest pod wielkim wrażeniem Polki, jej postawy i doskonałego niemieckiego; obiecuje pomóc jej w zorganizowaniu audiencji u króla. Nie wiadomo, co robi na nich większe wrażenie – odwaga Julii i jej wielka pewności siebie czy też fakt, że jest kobietą, Polką. Woykowscy wracają do Poznania bez konkretów, parę miesięcy później rząd pruski ogłasza jednak powszechną amnestię; Krauthofer jest wolny. Mieszkata w Poznaniu tylko dekadę. Po śmierci Antoniego, załamana, wyjechała na Dolny Śląsk. Zmarła młodo, mając 35 lat. Jednak to właśnie ona, razem z inną emancypantką, Bibianą Moraczewską, zaczęła zmieniać oblicze miasta. Razem uchyliły drzwi, przez które mogły później swobodniej przechodzić kolejne poznanianki.

CIEKAWOSTKA

Jeszcze 200 lat temu wszystkie domy na Starym Mieście w Poznaniu miały numerację ciągłą, bez podziału na ulice. Numer 1 przystugiwał ratuszowi, kolejne numery aż do 100 oznaczały budynki przy rynku. Potem szła ulica Wielka (101-152), Dominikańska, Szewska, Ślusarska itd. Najwyższy numer (894) w spisie posesji miasta z 1792 r. ma drewniany dom Rocha Nielubińskiego na Świętym Wojciechu. Dopiero około połowy XIX w. numerację zmieniono i podzielono według ulic. Ta dotycząca Starego Rynku pozostała jednak bez zmian aż do dnia dzisiejszego. Numery 1-36 to zabudowa śródmiejska (Ratusz, Waga Miejska, Wielkopolskie Muzeum Wojskowe czy domki budnicze), 37-52 to pierzeja wschodnia, 53-68 - południowa, 69-84 - zachodnia i wreszcie 85-100 znajdują się na północnej pierzei.

IZABELA DRWĘSKA



Na skrzyżowaniu ulic Królowej Jadwigi i Wierzbiciej stoją w Poznaniu dwaj, dość pochmurni, panowie. Patrzą w dal, przez drzewa i budynki w kierunku Jeżyc. Mają po 5 metrów wysokości, trudno więc spojrzeć im w oczy. Parę lat temu zaciekały mojego 9-letniego syna. Kiedy wytłumaczyłam, że to na cześć powstańców, którzy walczyli o to, by Wielkopolska stała się częścią Polski, zapytał rozsądnie:

- Wygrali? Sami, tylko we dwójkę?

Nie, kochanie. Było ich dużo więcej – mężczyzn i kobiet. Tylko że w tym kraju pomniki należą się głównie tym pierwszym. Nawet płaskorzeźby zdobiące pomnik poświęcony powstańcom, opowiadają głównie o mężczyznach: na samym przodzie orzeł, potem wóz Drzymały, Marcin Kasprzak wśród robotników i Franciszek Ratajczak, pierwsza ofiara powstania. Z boku strąk dzieci wrzesińskich (i jedyna kobieta, w otoczeniu dzieci oczywiście, bo jak to dzieci tak same zostawić).



Czyli nie protestowały. Nie walczyły. Nie pomagały. Prawdopodobnie pojawiły się na ziemi, gdy mężczyźni wygrali już wszystko. A przecież, gdyby tylko granitowi powstańcy odwrócili głowy, to spojrzeliby na Park im. Izabeli i Jarogniewa Drweskich. Park, który patronów w postaci pierwszego, polskiego prezydenta Poznania po odzyskaniu niepodległości i jego żony zyskał w 2003. Postać Drweskiego dopiero od niedawna wychodzi z cienia jego następcy, Cyryla Ratajskiego. To ten drugi jest legendarnym poznańskim prezydentem. To jemu przypisywane są wielkie zasługi dla miasta. Nawet te, które w rzeczywistości zawdzięczamy Drweskemu. Bo to Jarogniew zapoczątkował spolszczanie miejskich nazw, doprowadził do uruchomienia Opery

Poznańskiej, zainicjował utworzenie Targów Krajowych, stanął na czele Związku Miast Polskich, doprowadził do powstania wielu towarzystw sportowych. A skoro nie pamiętamy o pierwszym prezydencie, to co dopiero o jego żonie...

A Izabela Drwęska zdecydowanie warta jest zapamiętania. Można o niej opowiedzieć na kilka sposobów. Że była piękna i świadoma swej urody (tę narrację wybierają często ci, którzy piszą o parze prezydenckiej; „Piękna żona. Ozdoba męża”). Że lubiła być prezydentową i czuła się w tej roli jak ryba w wodzie. Że była piekielnie inteligentna i walczyła o możliwość uczenia się i studiowania w czasach, gdy ziemiankom wystarczało dobrze wyjść za mąż. Że była jedną z organizatorek kuchni polowych w Poznaniu w czasie Powstania Wielkopolskiego, a potem załazków Czerwonego Krzyża. Że miała świetne pióro i zajmowała się przez chwilę dziennikarstwem. Że była przewrotna, bo choć liberalna feministka, to pisywała felietony do endeckich i chadeckich gazet. Że kiedy przyszło jej zdjąć z głowy diadem i zasuwąć, by się utrzymać, to zrobiła to bez zastanowienia.

I wszystko to będzie prawdą.

Gdy zastanawiam się nad Drweską, to przede wszystkim myślę o jej potrzebie suwerenności. Nie chciała i nie lubiła być od nikogo zależna. I nigdy nie była. Już jako młoda dziewczyna doskonale wiedziała, czego chce. A chciała się przede wszystkim uczyć. W domu rodzinnym w Rzeszynie nad Gopłem nauczycielka była na stałe – miała co robić przy sześciorgu rodzeństwa. Szybko okazało się, że Izabeli podstawy nie wystarczą; najpierw więc chodziła do szkoły przy klasztorze w Tarnowie, potem przeniosła się wraz z siostrą Helą do sióstr urszulanek do Krakowa. Myśląc o dalszej nauce podeszła do egzaminu maturalnego. Zdawała go w Krakowie, w upalnym czerwcu 1905. Była jedną z trzech dopuszczonych do egzaminu dziewcząt. Maraton maturalny trwał sześć dni, od dziewiętej rano do piętnastej i obejmował nawet religię. „Strach był wielki, bo kobiet nie lubiono” – zapisała w pamiętniku.

Mimo to zdały wszystkie. Izabela była ze zdanej matury niebywale dumna. Świadectwo przechowywała z wielką pieczołowitością.

Na chwilę pojechała studiować do Fryburga na katolickim uniwersytecie, który już wtedy przyjmował kobiety.

Po śmierci ojca dom rodzinny w Rzeszynie przejął brat Izabeli. Ona wraz z mamą i siostrami zamieszkała w Poznaniu, przy ulicy św. Marcin 64. Nie wiadomo, gdzie spotkała Jarogniewa Drwęskiego; milczą o tym pamiątki i rodzinne przekazy. Być może w Poznaniu, a może w jednym z modnych miejsc odpoczynku sfer ziemiańskich. Izabela była zdolna, inteligentna i niezwykle atrakcyjna. Miała wielu adoratorów, jednak rękę oddała młodemu prawnikowi. Pobrali się w 1907 roku. Jarogniew zdawał sobie sprawę z tego, że jego żonie nie wystarczy rola „przy mężu”. Z drugiej strony kobiety na jej pozycji nie miały wielkiego wyboru – w zasadzie tylko działalność związana z pracą charytatywną była dobrze widziana. Izabela zaangażowała się w pomoc mężowi; robiła korekty artykułów, umawiała wizyty, pomagała w kancelarii.



„Babka była osobą nieprzeciętnie inteligentną. Do końca życia, mimo ciężkiej choroby, była osobą niezwykle czytającą. Chodziła do kina, była na bieżąco z nowościami, słuchała radia. Przy niej czułam się jak niewykształcona plazma, wpędzała mnie w okropne kompleksy”
– wspominała ją wnuczka, Ewa Drwęska.

NOWE, PRUSKIE MIASTO POZNAŃ



Zamieszkali przy Alei Wilhelmskiej 24, dzisiejszych Alejach Marcinkowskiego, wtedy jednej z najważniejszych i najbardziej reprezentacyjnych ulic miasta. Należała do tzw. Nowego Miasta, wybudowanego przez Prusaków. Zaprojektował ją jeden z najlepszych architektów niemieckich tamtych czasów David Gilly, wzorując się na berlińskiej Unter den Linden. Po urodzeniu pierwszego syna Jerzego, Drwęscy przenieśli się na ulicę Rycerską 2 (dziś Ratajczaka) do sporego lokum powstałego z połączenia dwóch mieszkań. Część zajmowała kancelaria Jarogniewa, druga była prywatna. Jerzy Drwęski, drugi syn pary, tak je wspomina:

„Mieszkanie umeblowane było w stylu z epoki, a więc typowy pokój stołowy z ogromnym bufetem, dębowym, ciężki stół rozsuwany, krzesła wyściełane skórą. Salon był najładniejszy, umeblowany mahoniami. Stół z delfinami, bardzo piękny, sekretarzyk, parę perskich dywanów, naturalnie prawdziwych, jeszcze komoda mahoniowa, kanapa i kanapka. Buduarek miał meble modern w ówczesnym znaczeniu, mahonie delikatne, półeczki i stolik. Dziecinny bez wyrazu, łóżeczka, półki na zabawki etc. Z nami sypiała bona – za przepierzeniem z szafy i kotarą.”

DĘBINA

Drwęscy starali się prowadzić zdrowy tryb życia. Prezydent bardzo wierzył w witaminy i codziennie starał się jeść kilka owoców. Miał też swoją ulubioną technikę relaksacyjną – kładł się na dywanie i rozluźniał całe ciało. Izabela z kolei lubiła spacerować, pewnie również z powodów towarzyskich. W pogodne niedziele jechali dorożką na Dębinę, a wracali do domu piechotą.

Dębina to kawałek lasu w mieście – dziś wielki park, jedno z ulubionych miejsc spacerowych mieszkańców i mieszanek Dębca i Wildy. Stał się modny za sprawą Fryderyki Ludwiki Hohenzollern, księżniczki pruskiej, bratanicy Fryderyka Wielkiego i żony księcia Antoniego Radziwiłła, namiestnika Wielkiego Księstwa Poznańskiego. To ona kazała zbudować na Dębinie wille, do której często jeździła wraz z dziećmi z Poznania.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ

Listopad 1918 r., wieczór. Jest zimno i ciemno, prósz śnieg. Na poznański dworzec kolejowy przyjeżdża kolejny pociąg z żołnierzami wracającymi z frontu pierwszej wojny światowej. Wielu z nich jest rannych, wszyscy – głodni. Co z nimi zrobić? Dokąd zawieść? Czym nakarmić? W barakach naprzeciwko poznańskiego dworca kolejowego, pod auspicjami utworzonego właśnie w Poznaniu oddziału Czerwonego Krzyża, zorganizowano świetlicę i stołówkę dla żołnierzy wracających do domów.



Poznań 1.8.1919. 1 p. Orłowska.
2 p. Drwęska.
3 p. Łossowska.
ca. Kieżgajło i Janów.

Barak składał się z izby jadalnej i wypoczynkowej, oraz spiżarni i kuchni, wyposażonej w dwa kotły do gotowania. Zespół pracowników był liczny, na liście sporządzonej przez Izabelę znajdują się nazwiska ponad trzydziestu kobiet. Jeden barak nie starczy, potrzeby są większe. Izabela organizuje więc kolejne punkty i kuchnie wydające posiłki. Te nie są wykwinne – w wojennych warunkach trudno o wszystko, nawet podstawowe produkty.

Kobiety zajmujące się aprowizacją dwoiły się jednak i troiły, by zdobyć to, co najbardziej potrzebne. Podczas Bożego Narodzenia przeszły same siebie.

„Na pierwsze danie ma być barszcz z autentycznych buraków, a nie z nienawidzonego suszu. I był! A do tego kluski, które każda z pań tworzących załogę „Ogniska”



przyniosła w... wiaderku. Stoły pokryto białymi obrusami, w kącie baraku ustawiono świerk. Kiedy pierwszy popołudniowy transport żołnierzy i cywilów, kobiet i dzieci, przekroczył próg „Ogniska”, wielu wchodzącym ugrzęzły w gardle słowa powitania...”

Wkrótce wybucha Powstanie Wielkopolskie – kuchnie powstają coraz liczniej, przydają się walczącym. Żywność przywożą osoby prywatne, sklepikarze, rzemieślnicy, piekarze i rzeźnicy. Izabela wspomina w pamiętniku:

Żywność dostarczało społeczeństwo poznańskie, mimo ogołocenia z zapasów na skutek ograniczeń wojennych. Kartofli dostarczała wieś. Mogłyśmy wydać zupę i chleb. Taki był początek.

W sprawozdaniu z działalności poznańskiego oddziału Czerwonego Krzyża, podpisanego przez przewodniczącą, Jarogniewową (sic!) Drwęską, czytamy: „Rewolucja 27 grudnia zastała Czerwony Krzyż o tyle zorganizowanym, że przez szereg pierwszych dni, odżywiano kuchniami polowemi (zanim polska prowiantura zaczęła funkcjonować) całe wojsko w Poznaniu i fortach. Kuchnie w gmachu prezydium policji, w Zamku, w Bazarze, kuchnia na Jeźyczach i na dworcu funkcjonowały ku zadowoleniu władzy wojskowej tak długo, aż władze te nie przejęły odżywiania wojska w swe ręce”.

W styczniu 1919 r. powstaje „Ognisko dla żołnierza polskiego”, gospoda i czytelnia.

Ognisko zaopatruje koszary i lazarety w emblematy narodowe. Rozdano wojsku 9000 śpiewników, modlitewników, podręczników naukowych, zeszytów i ołówków. Jak wielka jest to organizacja, mówią liczby. Sekcja gospody żołnierskiej wydała w okresie 1 lipca 1919 do 1 kwietnia 1920 ogółem 100 tysięcy porcji. Sekcja oświatowa założyła przy Gospodzie wypożyczalnię książek, obejmującą 450 tomów. Kilkanastacie zestawów książek po 80 tomów dla 2 pułku Strzelców wystano na front. Rozdano wojsku 9000 śpiewników, na front białoruski wystano ponad 36 tysięcy gazet codziennych i tygodników. Sekcja opieki nad wdowami wojennymi zajmowała się wspomaganie potrzebujących kobiet w nagłych wypadkach i ułatwianiem uzyskanie stałych zapomóg u władz kompetentnych. Na gwiazdkę oddział miejscowy udzielił zapomogi 1500 wdowom po poległych w I wojnie światowej. PCK organizował koncerty, zbiórki pieniędzy, kiermasze, kwesty i zabawy. Ile wymagało to pracy, umiejętności i logistyki, trudno sobie nawet wyobrazić. Izabela jest zaangażowana od rana do nocy. Latem 1920 r. ma, w drodze na dworzec, wypadek samochodowy. Poganiany przez nią szofer traci panowanie nad pojazdem i uderza w ogrodzenie zamku na skrzyżowaniu św. Marcina i Kościuszki. Drwęska wyrzucona z siedzenia uderza głową w mur. Ma wstrząs mózgu. Zdaniem lekarzy życie uratował jej kapelusz i kok, które zamortyzowały uderzenie.





CZYM JEST DLA CIEBIE MIASTO POZNAŃ...



... pytają co kilkadziesiąt lat poznaników i poznanianki socjologowie. Takie pytanie zadali też w 1964 r. Na konkurs wpłynęły 133 prace. Jedną z nich napisała Izabela Drwęska. Opisuje w niej swoje odczucia dotyczące miasta, w którym spędziła większość swojego życia. Była w nim ważną postacią, prezydentową. Ani razu jednak o tym nie wspomina wprost, jedynie mimochodem: „wiąże mnie z miastem działalność zmarłego męża mego, administracyjna i społeczna, w której, o ile mogłam, brałam udział”. Píše o swoich obserwacjach, o tym, jak się Poznań według niej zmieniał, nie nadmieniając, że wiele wydarzeń miała okazję oglądać z pierwszego rzędu:

“W Poznaniu przeżyłam zabór niemiecki, I wojnę światową, odrodzenie Polski, 20-lecie, II wojnę światową, zmianę ustroju, która była wielką rewolucją społeczną, odbudowę Poznania po wojnie, 20-lecie Polski Ludowej. Typ poznanika zmienił się bezwzględnie, a może nawet zaginął”.

Co sądzisz o mieszkańcach naszego miasta (o „starych” i „nowych”, o robotnikach i inteligentach, o kobietach i mężczyznach, studentach i młodzieży)? Na to pytanie socjologów Izabela odpowiada, jak się według niej zmienił świat i rola kobiety.

„Mentalność kobiet, ich pozycja społeczna zmieniła się w okresie mojego życia kompletnie. Do obowiązków domowych, pracy w domu, wychowania dzieci doszła praca zarobkowa. Dla kobiety zamężnej i dietniej bardzo uciążliwa. Z moich obserwacji widzę, że coś na tym cierpi, albo praca, jeśli matka myśli o tym, co się dzieje w domu, a co ma kupić itp., albo dom i dzieci, jeżeli, co się też często zdarza, kobiecie odpowiada praca i towarzystwo w biurze, zakładzie naukowym czy sklepie. Niezamężne kobiety mają lepsze życie, mają czas na kawiarnię, lekturę, na rozrywkę, pieniądze na eleganckie ubrania. Typ kobiety poznanianki oczywiście się zmienił: jest pewna siebie, gustowniej ubrana, ma mniej skrupułów, więcej kokieterii”.

Nie byłaby Izabela, gdyby nie dodała jednak czegoś od siebie. „Poruszę inną kwestię, która nie mieści się w pytaniach, a która interesuje mnie i boli”. I pisze o wielkiej niepamięci: o tym, że 20-latkowie nie mają pojęcia, jak wiele zawdzięczają poprzednim pokoleniom. „Nikt nie wspomni, że w okresie zaboru pruskiego poznańska inteligencja, młodzież pracująca i młodzież gimnazjalna, dały wielki wkład z zachowanie polskość w Poznaniu. Czy nie byłby czas, aby dziecko poznańskie Polski Ludowej wiedziało, że dziadkowie ich nie zapomnieli języka ojczystego, bo byli ludzie, którzy ich po polsku uczyli. Niech wiedzą, że była pomoc naukowa dla dziewcząt i chłopców, Czytelnie Ludowe, Czytelnie dla Kobiet, Towarzystwo Nauczania „Warta”, Towarzystwo Wioślarskie, itp. Niech wiedzą, że byli poznaniacy, dla których obrona polskość Poznania była celem życia”. Na pewno pisze o tym w imieniu kobiet swojego pokolenia, „Była feministką” – powie po latach jej wnuczka. Ale w tych zdaniach pobrzmiewa też ton niezgody na niepamięć o działalności jej męża, pierwszego prezydenta Poznania po odzyskaniu niepodległości.

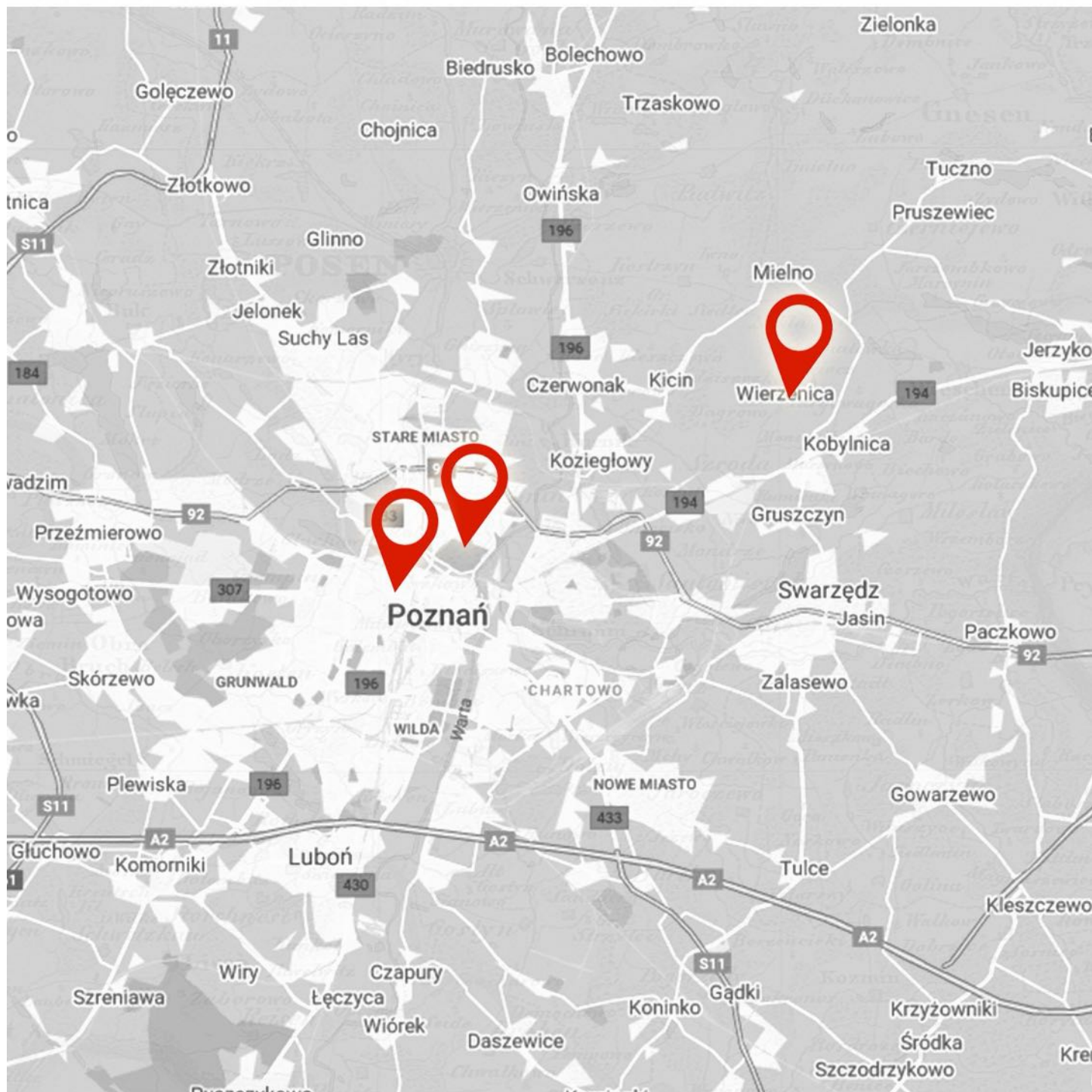
Praca Izabeli zajęta w konkursie trzecie miejsce – pierwszego nie przyznano, dwie drugie nagrody przypadły ludowi pracującemu: mechanikowi i robotnikowi. Izabela nagrody już nie zdążyła odebrać: wyniki ogłoszono 31 marca 1965, dokładnie trzy miesiące po jej śmierci.

CIEKAWOSTKA

Park Izabeli i Jarogniewa Drwęskich mieści się przy granicy dwóch poznańskich dzielnic – Starego Miasta i Wildy. Powstał w 1959 z przekształcenia dawnego cmentarza ewangelickiej parafii św. Pawła, pochodzącego z 1865. W połowie lat 2000 rozgorzała wielka dyskusja na temat tego, jak park ma wyglądać po modernizacji. Swoją koncepcję na nowy wygląd przedstawił Jarostaw Kozakiewicz, artysta, rzeźbiarz i architekt. Założył on przekształcenie parku w następczynią kotłnię i stworzenie wielkiej kurtyny, która by to umożliwiała. Niestety, po raz kolejny okazało się, że z poznańskich urzędników duch pruskość jeszcze nie uszedł – projekt okazał się zbyt odważny. Choć może to nie o ducha pruskość tu chodzi? Wszak Kozakiewicz wygrał w 2003 konkurs na zagospodarowanie terenów poprzemysłowych w gminie Boxberg na Pojezierzu Łużyckim w Niemczech. Zaproponował... zbudowanie na terenach zdegradowanych plenerowej rzeźby lewego ucha, która powstała z 130 tys m3 ziemi. W samym jej środku wybudowano amfiteatr, z którego korzysta lokalna społeczność. „Teatr w Uchu”, jak większość projektów architektonicznych Kozakiewicza, przyczynia się do integrowania lokalnej społeczności i jest wyrazem refleksji nad miejscem człowieka w świecie przyrody.



KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA



Trudno uwierzyć, że nie jest fantazją to, co ją spotykało, w czym uczestniczyła i co widziała. Zanim zamieszkała w jednym pokoiku sublokatorskiego mieszkania na poznańskich Jeżycach, jej życie mogłoby uchodzić za powieść przygodową. Czego tu nie ma – dzieciństwo pełne zwrotów akcji, młodość u boku sufrażystek w Londynie, rewolucjonistów w Petersburgu, kursy na Oxfordzie, praca u boku Piłsudskiego. Urodzona pod koniec XIX wieku, była uczestniczką niezwykle wyjątkowych wydarzeń, obserwatorką zmieniającego się świata. Zapraszali ją do swojej grupy Skamandryci. Jako urzędniczka Ministerstwa Spraw Zagranicznych na początku lat 30 konwersowała podczas oficjalnej kolacji z Josephem Goebbelsem o tym, co warto wiedzieć, a o czym lepiej nie mieć pojęcia. To na jej rękach, chwilę po zamachu, zmarł pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Gabriel Narutowicz.

ULICA GAJOWA

Tę opowieść zaczniemy od końca. Od niedużego pokoiku przy ulicy Gajowej w Poznaniu i harmonogramu korzystania z łazienki, niezwykle skrupulatnego. Nie mogło być inaczej – z tego pomieszczenia w ciągu dnia korzystało nawet i 19 lokatorów wspólnego mieszkania. Pierwsza miała prawo się umyć gospodyni, pani Żyndzina. Miała na to aż pół godziny. Reszta lokatorów potraktowana była surowiej, mieli zaledwie po 10 minut. Zgodnie z regulaminem „pierwszeństwo w godzinach rannych przysługuje w zasadzie tym mieszkańcom, którzy śpieszą do pracy lub innych zajęć, wymagających opuszczenia mieszkania.”

Kartkę z regulaminem wystukany na maszynie i podpisanym przez lokatorów dziś można oglądać w małym muzeum przy ulicy Gajowej. Ten pokój w mieszkaniu, w którym obok niej żyły zupełnie dla Iłakowiczówny obce osoby, stał się jej domem na kolejne dekady. A dokładniej 36 lat, bo tyle spędziła w Poznaniu Kazimiera Iłakowiczówna, urzędniczka państwowa, poetka, pisarka, tłumaczka, poliglotka i nauczycielka oraz... autorka regulaminu. A przecież w poprzednim życiu, przed wojną, była niespokojnym duchem. Siedzenie w jednym miejscu niezmiennie ją nużyło.

Po studiach na krakowskim wydziale filozoficznym wyjechała do Londynu, gdzie – zafascynowana ruchem sufrażystek – rozdawała ich broszury na ulicach. Wstąpiła do organizacji wojskowej mającej wspierać Legiony Polskie Piłsudskiego. Chciała nauczyć się strzelać, być przydatna, pomóc ojczyźnie w potrzebie. Piłsudski był dla niej objawieniem. Napisała do niego list, w którym zaproponowała, że zostanie jego adiutantem. Przyszły Naczelnik wytłumaczył jej jednak dobitnie, do jakiej pomocniczej służby nadają się według niego kobiety.



Iłakowiczówna zamieszkała w Poznaniu w 1947. Dlaczego wybrała to miasto, w zasadzie dość obce, nie licząc kilku wizyt przed wojną? Józef Ratajczak, uczeń Iłły (jak mówili na nią bliscy) pisze we wspomnieniach: „A może chodziło tym razem wyłącznie o wybór odpowiedniej „poczekalni” czy też ustronnej i cichej „przechowalni”? Trudno byłoby ten problem rozstrzygać tutaj jednoznacznie, niemniej na pewno wchodziły w grę różne cechy i walory stolicy Wielkopolski. Wśród nich nie sposób odrzucić i tego aspektu: było to miasto solidnej, spokojnej pracy, pracy mimo wszystko, prowadzonej bez względu na warunki – gorsze bądź lepsze.”

Przy ulicy Gajowej mieściła się wtedy zajezdnia tramwajowa. Hałas i zgrzyt zakręcających pojazdów był dla Iłakowiczówny codziennością; zamiast na nią utyskiwać, obróciła ją w poezję.

O czym zgrzytają tramwaje,
kiedy w nocy pod oknem mi stają?

O huśtawce im się śni wysokiej,
żeby z szyn i żeby – w obłoki;
żeby leciutko na krótko
kolor lila ze złotą obwódką
i – bez planu, bez kursu, bez celu
karuzelą nad Poznaniem, karuzelą!

Do swojej poezji Iłakowiczówna podchodziła bardzo nonszalancko. Usłyszawszy, że znajomy młody człowiek chce zostać poetą, wyraziła szczere zdumienie. „Poetą? Przecież to żadne godziwe zajęcie. A poza tym sama nigdy pisania wierszy nie uważałam za pracę. To przychodzi tak łatwo. Co innego być urzędnikiem czy rzemieślnikiem. Mieć posadę.”

Krótko po odzyskaniu niepodległości dostała posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Była początkowo jedyną kobietą na stanowisku referendarza.

Wykształcona, znająca języki, traktowała służbę Polsce bardzo poważnie. Jednak nie wszyscy uważali, że kobiety powinny zajmować w urzędach stanowiska wyższe niż sekretarek. Zachowanie kolegów musiało jej wyjątkowo doskwierać, bo (zazwyczaj powściągliwa) w jednym z listów wyznała: „Nie wiem, czy w przyszłości kobiety będą pracować po biurach, a jeśli będą, to czy będą miały do zwalczania ze strony kolegów tyle samo instynktownej niechęci do ich obecności przy warsztacie na równi z mężczyznami, co dzisiaj.”

Do pracy w biurze chciała zamówić suknię, która zakryłaby jak najwięcej ciała – w końcu w ministerstwie pracowali sami mężczyźni. Nie lubiła ściągać na siebie niepotrzebnych spojrzeń. Żadna krawcowa nie chciała jednak uszyć czegoś, co było kompletnie niezgodne z obowiązującą modą. Iłakowiczówna jednak się nie poddała; nie miała w zwyczaju ustępować. Skoro nie mogła mieć odpowiedniej sukni, kazała przygotować obudowane biurko, które zastąpiło ją dokładnie od pasa w dół.





SKWER TRZECH TRAMWAJAREK

Łtłakowiczówna była niezwykłą obserwatorką – rzeczywistość obracała w swojej wyobraźni i wyrzucała na papier. Poezja miała przylegać do świata, a nie być wydumanym odzwierciedleniem życia wewnętrznego poetów. Jeden z jej najbardziej przejmujących utworów, z powtarzającą się frazą „rozstrzelano moje serce w Poznaniu” to odpowiedź na wydarzenia Czerwca 1956 r., wielkiego, poznańskiego zrywu robotniczego.



POZNAŃSKI CZERWIEC

Klimat pod koniec lat 50 był już bardzo ciężki, nastroje społeczne napięte do granic. Poznań był potraktowany przez władze ludowe wyjątkowo: w sklepach brakowało żywności, mimo że województwo poznańskie z nadwyżką realizowało dostawy. Władza uznała, że poznaniacy są po prusku jeszcze zdyscyplinowani, do tego ich lojalność wobec władzy jest większa niż w reszcie kraju. Rozumieją więcej: mogą głodować, ale na pewno nie będą się buntować. Jak bardzo się mylili.

28 czerwca 1956 tysiące robotników z zakładów Cegielskiego wyszło na ulice miasta. Dołączali do nich kolejni: robotnicy ZNTK, pracownicy MPK, załogi Modeny, Zakładów Graficznych i wielu innych przedsiębiorstw z Jeżyc, Łazarza i Górczyna. Data rozpoczęcia strajku nie była przypadkowa: Cegielszczacy chcieli, aby o proteście usłyszał świat – właśnie odbywały się Międzynarodowe Targi Poznańskie z setkami wystawców i dziennikarzy zagranicznych.

W ciągu kilku godzin protestujący opanowali całe śródmieście. Władza podjęła decyzję o wystanie na ulice żołnierzy, wozów opancerzonych i czołgów. Około południa padły pierwsze strzały; zaczęły się uliczne walki.

Na czele tłumu maszerującego pod katownię Urzędu Bezpieczeństwa przy Kochanowskiego, szły trzy młode tramwajarki: Helena Przybytek, Stanisława Sobańska i Maria Kapturska. Ich zdjęcie niosących białą czerwoną flagę – zrobione zresztą przez agenta SB – jest jednym z symboli Poznańskiego Czerwca. Tramwajarki podczas wydarzeń zostały ranne – Helena Przybytek w nogę, którą jej później amputowano. Krwią został umazany sztandar, który niósł, a który potem – według niektórych relacji – znaleziony został przy najmłodszej ofierze wydarzeń, 13-letnim Romku Strzałkowskim.

W trakcie prowadzonego przez służby bezpieczeństwa śledztwa kobiety były wielokrotnie przestuchiwane, bite i dręczone. W 2018 zostały uhonorowane – skwer na poznańskich Jeżycach, u zbiegu ulic Kochanowskiego i Dąbrowskiego, został nazwany Skwerem Trzech Tramwajarek. Na płycie pamiątkowej napisano: Helenie Przybytek, Stanisławie Sobańskiej i Marii Kapturskiej, które za chwile patriotycznego uniesienia cierpiały całe życie.



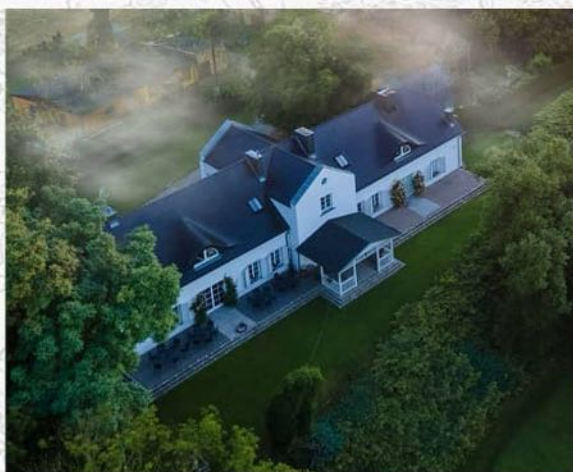
CMENTARZ NA STOKACH CYTADELI

Poznańska Cytadela to największy poznański park. Kiedyś był to fort Winiary, element fortyfikacji wzniesionych w mieście przez pruskie władze. Na jej stoku są cmentarze wojenne. Leżą tu poznaniacy, akowcy i żołnierze radzieccy zdobywający w 1945 cytadelę. Są też kwatery brytyjskiej Wspólnoty Narodów, żołnierzy brytyjskich, kanadyjskich, australijskich czy indyjskich, poległych na ziemiach polskich w walkach podczas obu wojen światowych. Zostali przeniesieni do Poznania z 28 różnych miejsc Polski. Często przychodziłam tam z tatą podczas niedzielnych spacerów.

Szczególnie w okolicach Wszystkich Świętych – zapalaliśmy wtedy świeczki na grobach młodych chłopców, którzy nigdy nie wrócili do swoich domów. To miejsce robiło też wrażenie na Iłtakowiczównie.

„Często przychodzę do Anglików. Nie mogę patrzeć na ich zaniedbane groby. Zginęli tak daleko od ojczyzny. Gdybym mogła, sama bym wykuta na ich nagrobkach jakieś wiersze pisane po angielsku. Szczególnie na tych bezimiennych mogiłach, gdzie leżą piloci znani tylko Bogu”.

WIERZENICA



Dzisiaj dworek znowu zachwyca. Pieczętowiec odrestaurowany przez obecnych właścicieli daje wyobrażenie o jego urodzie także za czasów Augusta Cieszkowskiego, sławnego filozofa romantyzmu. Kazimiera w Wierzenicy bywała u pana Gugi, syna Cieszkowskiego, starego kawalera.

„Dworek obrastał szlachetną winoroślą, ocieniał się lipą i kasztanem, topotały na nim setki par gotębich skrzydeł, hoże Wielkopolanki o spokojnym wejrzeniu wycierały z kurzu cenne mahonie i rzadkie porcelany, a majordomus Wojciech Jędruszyk z dumą oprowadzał przyjezdnych gości po świecącej posadzce od obrazu do obrazu, wymieniając bezbłędnie imiona Murilla, Zurbarana i Domenichina” – pisała w „Trzymieńskim zającu”, wspominając pobyty w Wierzenicy.

O majątku z nostalgią wspominał Zygmunt Krasicki, a Cyprian Kamil Norwid bezskutecznie dopytywał o zaproszenie. Swoją zachwyty Iłtakowiczówna przekuta w wiersz:

*O Wierzenico, z szlachetności rysów
całaś jest warta pędzla i opisu,
z płodności gleby, z taką zielonej krasy,
z wysokopiennej twych urody lasów,
z bystrości rzek twych, rozległości stawów
całaś jest godna pochwały, i stawy.*

Dzisiaj dwór wraz z 3,5-hektarowym parkiem jest wynajmowany na śluby cywilne, przyjęcia weselne, sesje reklamowe, produkcje filmowe i telewizyjne. Zwiedzać go – zarówno wewnątrz, jak i z zewnątrz – można w czasie drzwi otwartych, o których informacje znaleźć można na profilach społecznościowych posiadłości.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W POZNANIU

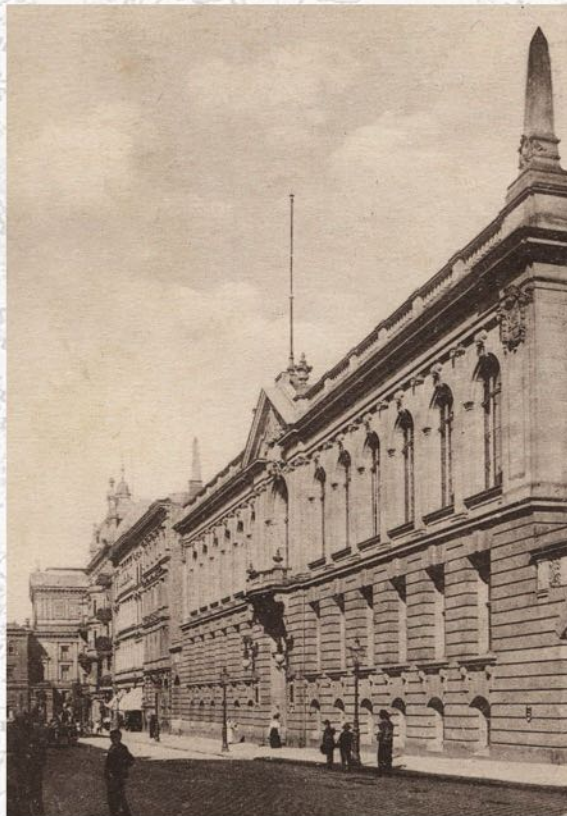
Iłtakowiczówna była człowiekiem słowa. Operowanie nim, stawianie dokładnie w takim miejscu, w jakim powinno być, by oddać to, co oddać chciała, doprowadziła do mistrzostwa. Zarówno we własnej poezji czy prozie, jak i w przekładach. Praca nad przekładami była mrówcza i wielomiesięczna. Miała na nią swój sposób. Najpierw, na szybko, robiła pierwszą wersję. „W tempie, aby utrzymać jednolity styl i wewnętrzny charakter”. Potem szła do poznańskiej Biblioteki Uniwersyteckiej by tam, ślęcząc nad książkami, słownikami, encyklopediami (często z własną świeczką i zapatkami, z uwagi na przerwy w dostawach prądu) sprawdzać konteksty, wygładzać język, zapętniać zostawione wcześniej luki.

„Zawsze mnie śmieszą opowieści o tłumaczach, którzy siedzą w wygodnym fotelu i dyktują od razu gotowy przekład wynajętej na godziny maszynistce. Jest to równie dalekie od rzeczywistości, jak teoretyczne rozważania nad problematyką przekładów. Bo dla mnie liczy się przede wszystkim i wyłącznie umiejętność operowania słowem przez poszczególnych autorów. Za każdym razem muszę do końca wiedzieć, jak oni to robią, że uzyskują tak znakomite efekty, na które i ja muszę się naraz zdobyć. W tym cała rzecz. I cały sekret.”

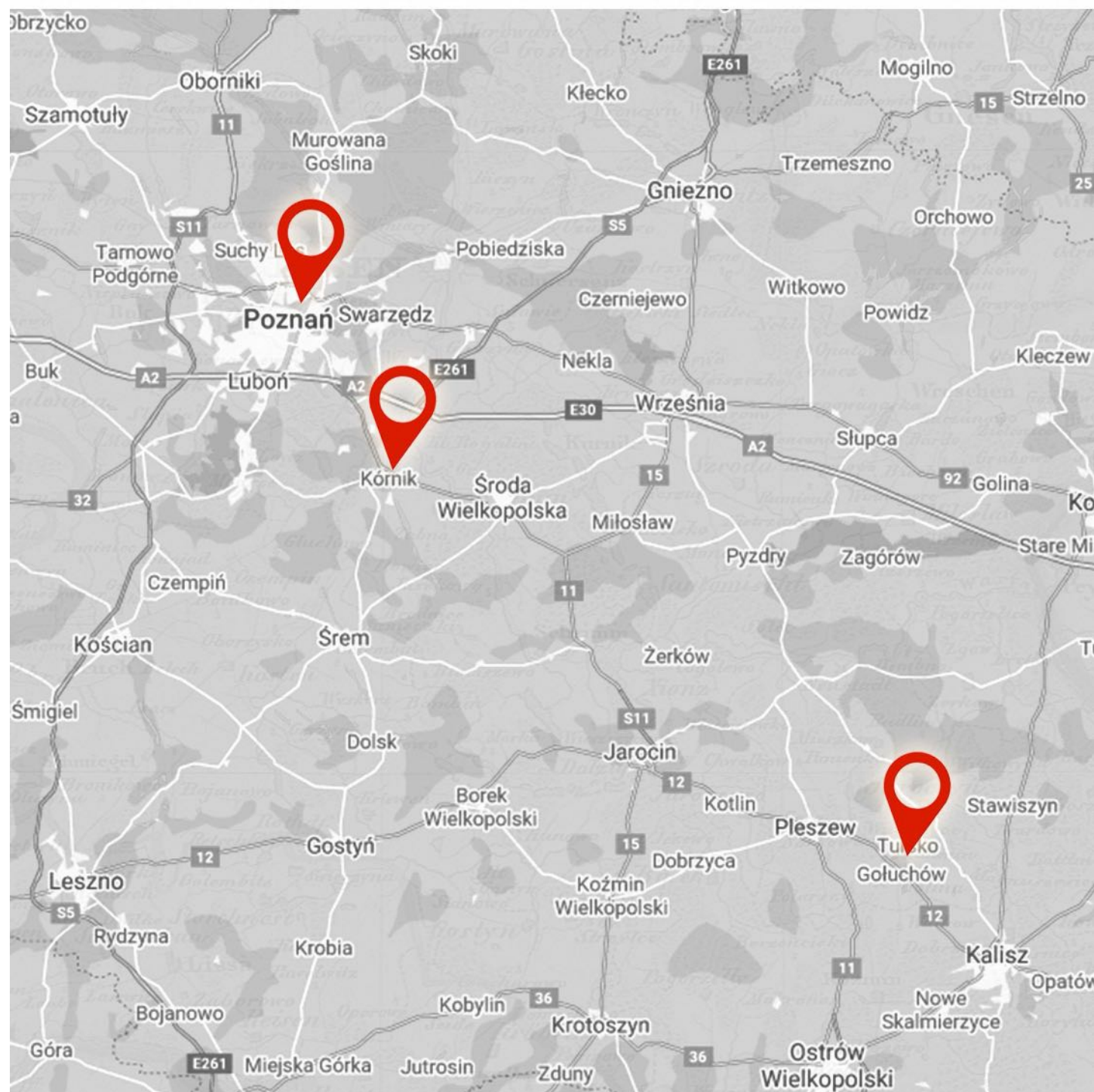
Robiła to doskonale. Jej przekład „Anny Kareniny” do dzisiaj uważa się kongenialny, czyli dorównujący kunsztem oryginałowi. Po ponad półwieczu wciąż nikt nie pokusił się o próbę zmierzenia się z dziełem Tołstoja ponownie.

CIEKAWOSTKA

Biblioteka Uniwersytecka mieści się w gmachu zbudowanym przez władze pruskie w 1902. W założeniu miała być częścią nowego centrum kulturalnego miasta, wzniesionego w bliskości Wilhelmplatz, czyli dzisiejszego Placu Wolności. Oprócz Kaiser-Wilhelm Bibliothek w skład kompleksu wchodziły także Deutsches Theater (dzisiejszy Teatr Wielki), oraz Kaiser-Friedrich-Museum (czyli stary gmach Muzeum Narodowego). O tym, że takie działania miały olbrzymie znaczenie dla pruskich władz, świadczą chociażby słowa pruskiego ministra finansów Johannes von Miguela, który w 1899 roku mówił: „chcemy zanieść kulturę na wschód i jesteśmy przekonani [...], że »niesienie niemieckiej kultury na wschód« oznacza wzmocnienie odmiennych językowo narodów, ale przez końcowy sukces. Walczymy w tych regionach nie o zwycięstwo, lecz o pokój i pojednanie”. Polacy i Polki mieszkający w Wielkim Księstwie a potem Prowincji Poznańskiej byli jednak mocno impregnowani na ten rodzaj Kulturkampf.



TRZY DZIAŁYŃSKIE, CZYLI RZECZ O CELESTYNIE, ANNIE I IZABELLI



Gdyby nie ród Działyńskich, Wielkopolska wyglądałaby dziś inaczej, to pewne. Udział w powstaniach, zasługi dla nauki i kultury, działalność filantropijna przez lata nie tylko określały główne cechy tej rodziny, ale też pomagały w budowaniu wielkopolskiej tożsamości. Tylko że zazwyczaj opowieść o Działyńskich ogranicza się do parów na temat dwóch mężczyzn – Tytusa i jego syna Jana Kantego. Tymczasem prawdziwie wspaniałe historie, mocno charakteryzujące granice kobiecych światów w XIX wieku, niosą ze sobą biografie trzech kobiet: Gryzeldy Celestyny z Zamoyskich Działyńskiej, Anny z Działyńskich Potockiej i Izabelli z Czartoryskich Działyńskiej.

CELESTYNA Z ZAMOYSKICH DZIAŁYŃSKA



„Najpierw, względem Boga i Kościoła; potem względem Ojczyzny; potem względem społeczeństwa; potem względem rodziny, potem względem siebie” – tak wyglądała kolejność powinności, którą na pamięć znało każde dziecko Tytusa i Celestyny Działyńskich. I choć w wielu rodzinach ziemiańskich czy szlacheckich ta lista wyglądała podobnie, nie w każdej była tak przestrzegana, jak u Działyńskich. Jeśli dodamy do tego ramy, w jakich mogły się w społeczeństwie dziewiętnastowiecznym poruszać kobiety

– gorset oczekiwany zasznurowany był naprawdę mocno.

Trudno w zachowanych źródłach, pamiętnikach z XIX wieku, wspomnieniach, znaleźć jakiś fragment mówiący o Celestynie inaczej, niż o ucieleśnieniu wszelkich cnót niewieścich. I absolutnie nie myślę o tym z przekąsem czy złośliwie – raczej zastanawia mnie, gdzie pod tym wszystkim była ona. JEJ potrzeby. To, że poświęcała dużo – może nawet wszystko, może nawet siebie – dla innych, widać już bardzo wcześnie. Niezwykle plastyczną scenę poznania się rodziców opisuje w swoich pamiętnikach Anna Potocka. Tytusowi Działyńskiemu młoda Celestyna wpadła w oko, gdy tylko przyjechał do Warszawy i znalazł się w towarzystwie. Długo szukał możliwości przedstawienia się jej rodzicom – w końcu udało to mu się podczas jednego z balów. Ale to w jakim towarzystwie zobaczył młodą Zamoyską sprawiło, że miał ochotę postawić ją pod pręgierzem – cały wieczór spędziła z Wielkim Księciem Konstantym. Tytus był porywczy i gwałtowny, krew musiała się w nim gotować przez całą noc. Na szczęście ktoś mu wytłumaczył: Konstanty przybył na bal i chciał się dobrze bawić. Niespełnienie tej prośby mogło mieć fatalne konsekwencje. Szukano więc kobiety, która zrozumie sytuację i poświęci się dla dobrej sprawy.

„Matce mojej biednej polecieli, aby tańcowała, aby rozweselała zły humor Księcia, aby mu wieczór uprzyjemniła. Nieśmiała bardzo, drżąc z wstępu i obawy, oddała się w ręce tego zwierza prawdziwego i cały wieczór z nim tańczyła i nim była zajęta.”

Co musiała czuć dwudziestoletnia dziewczyna oddana w ręce nienawidzonego przez Polaków sadysty – możemy sobie tylko wyobrazić. Swoją rolę odegrać musiała jednak znakomicie, bo Konstanty był nią zachwycony. Zachwycił się jej postawą także Działyński. Jak pisze w pamiętnikach ich córka „*dzień ten był pierwszym krokiem do miłości wspólnej, idealnej, jaka te dwa serca tak do siebie dobrane łączyć miała na zawsze.*”

Do wspólnego szczęścia droga jednak nie była prosta – Tytus nie spodobał się Zamoyskim. Uważali go za porywczego dzikusa, chcieli dla córki lepszej partii. Zamoyska okazała się jednak wyjątkowo w tej kwestii uparta – rodzina skapitulowała. Nigdy jednak do końca nie zaakceptowali tego mariażu.

Świadczy o tym chociażby to, że gdy na majątek Działyńskiego zaborcy nałożyli sekwestr (czyli zajęli wszystkie dobra) i rodzina, już wtedy wielodzietna, skazana została na życie w biedzie przez kilka lat, Celestyna nigdy nie zwróciła się po pomoc do swojej licznej i uposażonej rodziny.

ARCHITEKTKA KÓRNICKA

W Wielkopolsce Działyńscy mieszkali w Poznaniu, w pałacu przy Starym Rynku, oraz Kórniku, w zamku odrestaurowanym, a w zasadzie wybudowanym na nowo w stylu neogotyckim, przez Tytusa. Jego zamysłem było, aby zamek był nie tyle siedzibą rodu, ale częściowo biblioteką i muzeum dostępnymi publicznie. Ten dziś jeden z najpiękniejszych wielkopolskich zabytków wymyślany był z wielkim namysłem i pieczołowitością. Anna Zamoyska w swoich pamiętnikach kreśli ten niezwykle proces twórczy, który angażował również Celestynę:

„Pamiętam Ojca mego, jak z rzepy i z kartonu wzory sklepień swoich robił; sklepień, których lekkość i śmiałość zagraniczni nawet architekci podziwiać przyjeżdżali. Pamiętam, jak moi Rodzice razem rysowali, jak razem rzeźbili śliczną balustradę do schodów głównych z papużkami, którą może kiedyś widzieć będziecie. Ojciec mój zwykle szkicował pomysły swoje, a Matka znająca wybornie rysunek, prawidła architektury i perspektywy, wykonywała je z podziwienia godną cierpliwością.”

CIKAWOSTKA

Zamek w Kórniku znany jest oczywiście również jako miejsce zamieszkałe przez jednego z najśłynniejszych polskich duchów – legendarną Białą Damę, która co noc, po północy schodzi z jednego z obrazów i przechadza się po zamku oraz ogrodach. Białą damą jest jedna z właścicielek Kórnika, Teofila z Działyńskich Szotdrska Potulicka, jeszcze jedna z niezwykłych kobiet rodu Działyńskich. Jej dokonania trudno przecenić, choć działała w XVIII wieku, czasach upadku gospodarczego i głębokiego kryzysu.

Niezwykle wykształcona i świadoma, sprowadziła m.in. osadników holenderskich znanych z umiejętności melioracyjnych. Budowała drogi i mosty, ufundowała bożnicę i zbór, a pańszczyznę zastąpiła czynszami. Jej XXI wieczni biografowie w pracy „Biała Dama w gorszej mitów i legend” nie obawiali się

napisać: „Dla kórnickiego świata Teofila była ziemią, na której ludzie mogli się osiedlać, ogniem, który zapalał do działania, wodą, która gasiła wszelkie pożary i powietrzem, które pozwalało spokojnie żyć i w pełni oddychać.”



PAŁAC DZIAŁYŃSKICH

Pałac Działyńskich w Poznaniu to w XIX wieku było miejsce-instytucja, choć niewiele w nim było zabaw i bali. W zasadzie kronikarze odnotowują tylko jeden – gdy poznańskim wyższym sferom przedstawiana była Izabella Czartoryska, córka naszego „króla na emigracji”, Adama ks. Czartoryskiego, która chwilę przedtem, w Paryżu, została panią Działyńską, żoną jedyne go syna Tytusa i Celestyny, Jana Kantego. Tytus nie zno sił bowiem zabaw, bali i innych spędów służących tylko przyjemnościom i rozrywce.

Ojciec mój nie pozwalał tańczyć w swoim domu; na samą wzmiankę o tańcach oburzał się; u niego żałoba narodowa przechodziła w żałobę rodzinną. Klejnotów córkom nosić nie pozwalał nigdy; uważał, iż one polskiej niewieście nie przystoją. Ale ileż tam świetnych zebrań i wieczorów się odbywało! Nie świetnych przepychem toalet, bo tych Ojciec mój tak

nienawidził, że się ich strzeżono idąc do nas w gościnę; ale świetnych doborem towarzystwa ludzi znakomitych i uczonych.

Pod koniec życia, gdy Tytus sporo chorował i w zasadzie nie ruszał się już ze swoich pokoi, pałac we władanie przejęła Celestyna. Stał się on ostoją dla ubogich i pokrzywdzonych przez los mieszkańców Poznania. To tutaj na przykład, podczas jednej z wielkich powodzi, które nawiedziły Poznań, schronienie znalazły dziesiątki rodzin.



Warta tak wylała, że po Bernardyńskim placu jeździli łódkami, dom Sióstr Miłosierdzia był zalany. Także najbardziej części miasta Chwaliszewo i Śródka. Wielka część tych biedaków znalazła w domu moich Rodziców przytułek. Były w domu trzy duże sale, z których jedna, Czerwona Sala tak zwana, istnieje jeszcze; drugie na pokoje podzielone zostały. W jednej z tych ostatnich na górze mieścili się biedacy, których domy woda zalała. Pamiętam, jak im przynoszono jedzenie w ogromnym kotle, niesionym na drągach; jak moja Matka to jedzenie na miskach rozdawała; pamiętam pacierz wieczorny wspólny, po którym Matka moja czytała coś o poddaniu się woli Bożej w nieszczęściu, które to czytanie często płaczem i łkaniem przerywane było. Tak samo goszczono u nas pogorzelców, gdy się Śródka spaliła.

CIKAWOSTKA

Jeśli podczas spacerów po poznańskim Starym Mieście nie będziemy patrzeć tylko pod nogi, możemy natrafić na niezwykle świadectwa straszliwych katastrof w lokalnej historii. Bodaj najbardziej znane jest to, które znajdziemy na jednej z kamienic (zwanej kamienicą Gumprechta albo po prostu "Pod daszkiem") wschodniej pierzei Starego Rynku. Niewielka tabliczka na wysokości niespełna dwóch metrów upamiętnia kataklizm, jakim była największa powódź w dziejach miasta. Latem 1736 r. woda

sięgnęła rzędnej ponad 60 m n.p.m., co oznacza, że poziom wód w Warcie wzrósł o ponad 8 metrów! Po mieście można było poruszać się wyłącznie łódkami. Woda rwała mosty, zabierała ze sobą młyny, zalewała domy i kościoły. Kiedy opadła, na poznańskich spadły epidemie, problemy z zaopatrzeniem w żywność i wodę pitną.

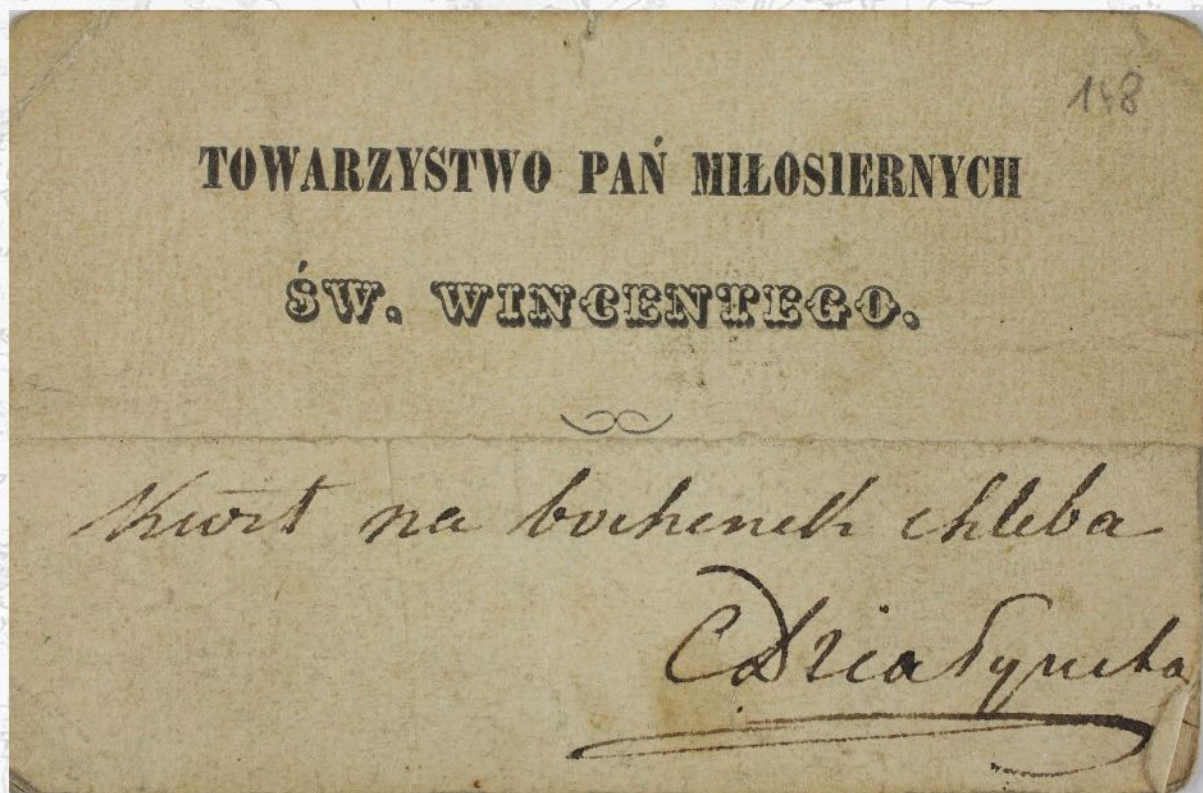
Tabliczka ze Starego Rynku to nie jedyny świadek powodzi w dziejach Poznania. Tablice powodziowe znajdziemy też w kościele Bożego Ciała przy ul. Krakowskiej (jedna z nich dotyczy tej samej powodzi, inna - wielkanocnego kataklizmu z 1698; poziom wody był wtedy zaledwie o metr niższy). Z kolei w budynku Psalterii na Ostrowie Tumskim na jednej z kolumn do dziś zachowały się kreski oznaczające poziom wód powodzi z różnych lat, m.in. 1698, 1780 i 1855.



Podczas powstania styczniowego Pałac Działyńskich stał się centrum działalności konspiracyjnej. To tutaj, pod samym nosem pruskiej policji stacjonującej w stojącym vis a vis Odwachu - odlewano kule, przygotowywano broń, szyto mundury. W trakcie lektury popołudniowych gazet córki Działyńskich i służące przygotowywały bandaże i opatrunki. Pokoje na parterze zmieniły się w magazyny pełne bali płótna, flaneli, sukna, stosów ciepłych rękawic, filcowych butów a nawet cygar i wódek.

FILANTROPKA

Powiedzieć, że Celestyna angażowała się w działalność charytatywną, to nic nie powiedzieć. Myślę, że właśnie w tych działaniach znalazła sens swojego życia, w tym się spełniała. Organizowała loterie, z których dochód przeznaczony był na pomoc najuboższym mieszkańcom - dzięki zgromadzonym środkom wydawała kwity (dziś byśmy powiedzieli „talony”) na najpotrzebniejsze produkty. Organizowała płatne wydarzenia kulturalne - pisała sztuki,



w których między innymi występowały jej córki. W 1866, z inicjatywy założonego przez nią Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, zorganizowała w Pałacu wielką wystawę polskiego malarstwa. Dzieła m.in. Józefa Brandta, Artura Grottgera, Juliusza Kossaka, Jana Norblina zostały wystawione w trzech seriach, można je było oglądać od października 1866 do marca 1867. Wystawę zwiedziło ponad 5 tysięcy osób, dochód, czyli gigantyczną kwotę 850 talarów (siła nabywcza 1 talara w 1866 odpowiada 30,1 euro w 2020 roku, co by znaczyło, że Towarzystwo zebrało kwotę bliską dzisiejszym 120 000 złotych) przeznaczono oczywiście na działalność społeczną.

Celestyna była skromna, nie znosiła się stroić. Modne suknie uważała za absolutnie zbędne

- na nieszczęście swoich córek, które wielokrotnie, jako młode panienki, były wyśmiewane za noszenie staroświeckich ubrań. Była niezwykle czuła na krzywdę innych, uznawała, że jej obowiązkiem jest pomagać tym, którzy mają gorzej. Była jednocześnie postacią niezwykle charyzmatyczną, jej magnetyzmowi trudno było się oprzeć. Nie umiał tego na pewno także jej mąż, Tytus Działyński.

Trochę też Ojciec błędził zazdrośnem przywiązaniem do Matki mojej; zazdrościł ją dzieciom, gospodarstwu, chorym i biednym, których tak lubił; zazdrościł Panu Bogu nieomal, bo do kościoła posyłał po nią, gdy się tam w modlitwie zapomniata; potrzeba mu jej było ciągle, bezustannie; nic bez niej napisać, wyrysować, obmyśleć nie mógł.

ANNA Z DZIAŁYŃSKICH POTOCKA

Jeśli ktoś myśli, że dziewczynki urodzone w rodzinach szlacheckich miały sielankowe dzieciństwo, to czytając pamiętnik Anny Potockiej może się srogo zawieść. Anna była tak nieszczęśliwa i samotna, jak tylko nieszczęśliwe i samotne może być dziecko. Celestyna, mająca na głowie wszystkie sprawy tego świata, męża, cztery starsze córki i syna, chętnie oddała najmłodszą pod opiekę niani, z którą dziewczynka spędziła w jednym pokoju prawie... 6 lat. Mimo że mieszkała razem z rodziną w Pałacu Działyńskich, swoją mamę czy siostry widywała bardzo rzadko – niania twierdziła, że na widok „obcych” dostaje dziwnej gorączki. Kolejna guwernantka, Irlandka, zupełnie sobie z żywiołową i energiczną dziewczynką nie umiała poradzić. Za nieznaną z prawideł francuskiej gramatyki zamykała dziecko w pokoju bez mebli na długie godziny.



Istotnie, niestworzone rzeczy wyrabiałam, gdy mnie już mieli zamykać; nie chciałam się dać, kopotałam, gryzłam tych, co się do mnie

przybliżali, klnąc ich, bluźniąc, doprawdy jak opętaniec; wiązali mi wtedy ręce i zanosili mnie gwałtem; nie mogąc kasać ani bić, plułam w twarz tym, co się do mnie zbliżali; wtedy wołano Mamę, która łzami się zalewała patrząc na te szaleństwa i sądząc, że ja doprawdy jestem szalona. Pamiętam, że doktorów sprowadzali, kuracje ze mną odbywali, a tu jednej tylko kuracji potrzeba było: sprowadzić kilkoro dzieci mego wieku i dać mi się wybiegać i wyhulać; ale to nikomu na myśl nie przyszło.

Na szczęście mała Anna miała sporą wyobraźnię – jeśli nie udało jej się do kozy przeszmuglować żadnej książki, znajdowała inne zajęcia: wyciągała na przykład gumki z podwiązek i robiła z nich coś na kształt harfy, na której próbowała grać. Nauczyła się też spinką otwierać każdy zamek i kłódkę, co namiętnie robiła dopóki niania nie zapowiedziała, że za następną zepsutą zasuwę będzie musiała zaptać sama. W Pałacu Działyńskich jej „koza” mieściła się tuż nad oknami kuchni – synowie kucharza, bardzo jej współczujący, na wysokich tyczkach podawali jej przez okno pączki, jabłka i inne smakołyki. Ciężkie życie pod skrzydłami panny Byrne zakończyło się, gdy miała 11 lat – wtedy oddano ją do Sacre Coeur w Poznaniu.

Utalentowana, ale dziewczynka

Anna być może była jednym z najbardziej utalentowanych dzieci Tytusa i Celestyny. Być może – wielu jej talentów nie udało jej się rozwinąć. Świetnie pisała, miała też duże zdolności malarskie. Z braku odpowiedniej opieki, no i faktu, że była najmłodszą dziewczynką, którą nie miał się kto odpowiednio zajmować, swoich uzdolnień nie



miała gdzie i jak rozwijać. Już jako dorosła kobieta starała się to sobie zracjonalizować, choć wielki żal straconych możliwości wciąż tkwił w niej bardzo mocno.

Widać, że zdolności moich byłabym może źle użyła, i może dobrze Bóg zrobił, że mnie z imaginacją moją i gwałtownością zawadającą nie dał pola do nabycia wiedzy szerokiej; możeby mnie szalona natura moja i imaginacja niczem nie powstrzymana były na niebezpieczne manowce wprowadziły; ale jak sobie przypominę, jakie zasoby we mnie były, moralne i umysłowe, i coby ze mnie umiejętna ręka mogła była zrobić, to żal mi trochę! — Gdy przyjeżdżałam na parę dni do domu, Ojciec mój brat mnie na kolana, z dumą mi się przypatrywał i zawsze mówił: „Chowajcie ją sobie do 15-go roku życia, ale od 15-tu lat ona już do mnie będzie należeć, sam ją uczyć będę i zobaczycie co z niej zrobię!”.



Tytus Dąbrowski. Portret.

Niestety, nie zdążył — zmarł zanim Anna skończyła 15 lat. Okazja do tego, by zacząć rozwijać talent malarski pojawiła się chwilę później, gdy wraz z matką pojechały do Paryża.

Czułam w sobie talent wielki, podobieństwa udawały mi się wybornie. Przed samym wyjazdem wzięłam trzy lekcje od pana Aubert; te lekcje i kilkanaście wziętych u p. Savinien były rzeczywiście jedyne dobre, jakie miałam w moim życiu, i poczuwszy przy nich swoje siły, całą duszą rwałam się do malarstwa. Pewniebym była doszła wysoko, gdybym była miała nadal dobry kierunek.

KANAPA JAK CHATA BIEDAKÓW

Zahartowana w dzieciństwie Anna chciała sobie i innym udowodnić, że poradzi sobie w życiu. W 1866 roku wyszła za mąż za Stanisława Potockiego. Było jej przykro, gdy siostry robiły kąśliwe uwagi co do jego pochodzenia — był wnukiem „tego” Potockiego, targowiczana, Stanisława Szczęsnego Potockiego. Postanowiła, że to tym lepiej — jeszcze ciężiej będą pracować dla Polski.

Nieprzygotowana w żaden sposób do życia, wpadała w przeróżne tarapaty. Nie umiała na przykład w ogóle obchodzić się z pieniędzmi. We wspomnieniach pisze:

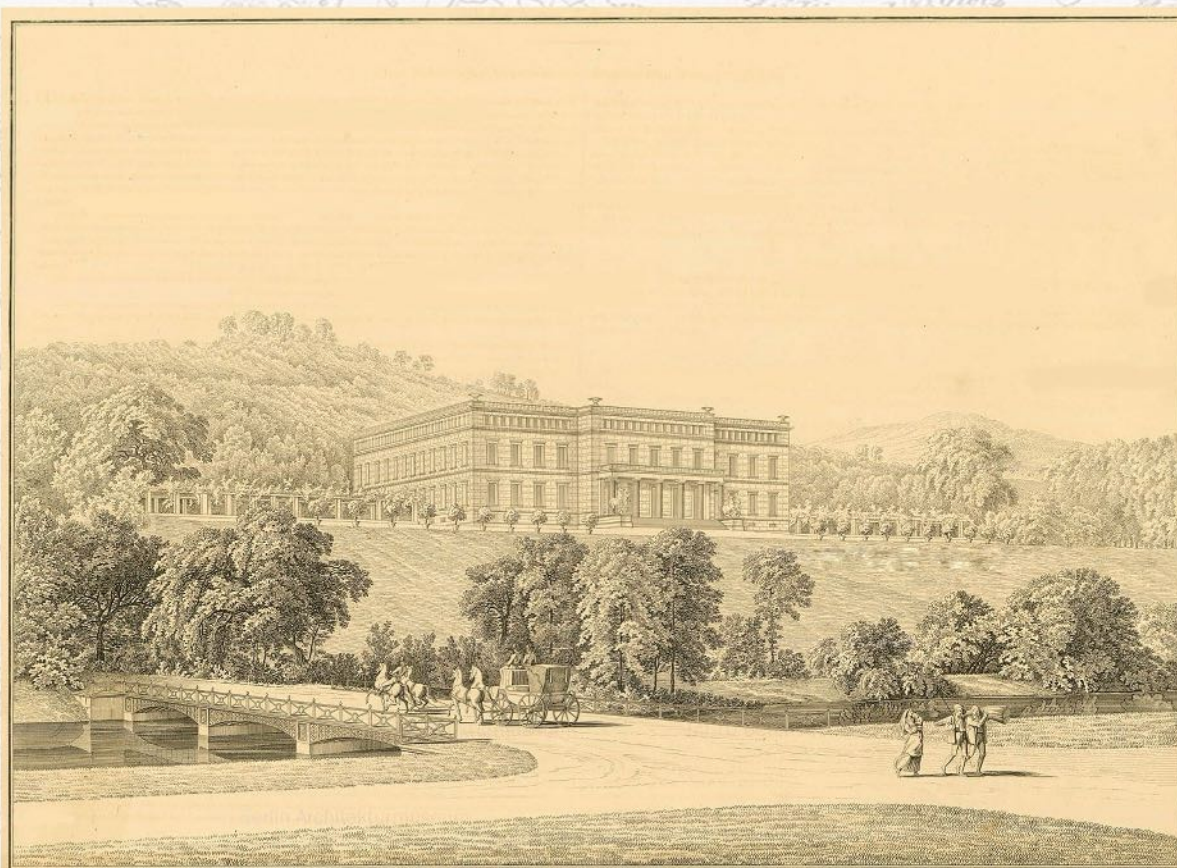
Wielką wadą mego wychowania, a raczej braku wychowania, wyływającego z wielkiego zaprzatnięcia przez interesa czasu mojej Matki było, że mnie wcale nie nauczono obchodzić się z pieniędzmi; nie zdawałam sobie zupełnie sprawy z tego, ile mamy dochodu, ile nas będzie kosztowało życie, czy rzeczywiście zostanie coś i ile na fantazje. Wreszcie nie miałam pojęcia, ile co powinno kosztować. Pamiętam, że pierwsze 25 talarów, które mi mój Mąż dał na sprawunki, gdyśmy przyjechali do Poznania, poczuwałam się niejako upoważniona wydać na bodaj c o ; i wróciłam do domu z różnemi rzeczami, to na prezenta dla różnych osób, to na jakieś wstążeczki różnokolorowe, które lubiłam nosić przy białych muslinowych bluzkach. Tak się zdarzyło kilka razy. Widziałam, że mego Męża zadziwiły te zakupna i zakłopotaly poniekąd. Płożenie jego było delikatne; wtedy on nie miał nic (to było zaraz po powstaniu i szalonych kontrybucjach, na które go skazano), pieniądze te były z renty, którą mi Matka wypłacała do czasu działów; może mnie nie śmiał upominać o ich użytek, ale cierpiał, widząc moją zupełną niepraktyczność i rozrzutność.

Od rodziców w ramach posagu dostała dwór w Oleszycach na Podkarpaciu. Był to dworek postawiony przez Jana Sobieskiego, który służył królowi podczas polowań. Pewnie właśnie względy sentymentalne nie pozwoliły starego i rozpadającego się budynku zburzyć i postawić nowego. Mimo korespondencyjnych zapewnień nadzorców o świetnej kondycji dworku, na miejscu okazało się, że jest w opłakanym stanie. Panowała w nim taka wilgotność, że pieluszki dzieci pozostawione w pokoju, po kilku godzinach można było wykręcać. W drzwiach mieszkaly całe stada ropuch, które Anna sukcesywnie deptała, wędrując nocą do kotysek. Do tego często zupełnie nie mogła pojąć panujących w Galicji stosunków społecznych, zwyczajów oraz wysokich danin płaconych przez najuboższych, przede wszystkim chłopów.

Podczas wizyty w pałacu w Krzeszowicach, zbudowanego przez Adama Potockiego w latach 50-tych XIX wieku, Anna wdąta się w dyskusję z jednym z członków rodziny,

Siedząc w wielkiej hali w Krzeszowicach na dużej kanapie powiedziałam, że znam chłopą, który płaci pięć zł. reńskich podatku od chatupy bez zagonu gruntu, a ta chatupa jest tak duża, jak kanapa, na której siedzę. Na to pan Branicki w śmiech i zwotywać zaczął wszystkich: „Słuchajcie, słuchajcie! do czego imaginacja kobiet dochodzi! Ha, ha, ha! chatupa jak kanapa! Słyszycie?” — Zaperzyłam się, zażądałam metra, przy świadkach zmierzyłam kanapę i zapisałam w notesie, a po kilku dniach w Oleszycach przy wójcie i dwóch świadkach zmierzyłam chatupę i posłałam ten wykaz panu Branickiemu; chatupa wszczeg była akurat równa, a wzdłuż nieco mniejsza! Było to we wsi Borchowie, żyła w tej chatupie rodzina o ile pamiętam z pięciu osób się składająca, nie potrzebuję mówić, że ci ludzie stanowili stały kontyngent moich pacjentów, bo chorowali bezustannie i bladzi, żółci byli jak wosk.

Warto dodać, że pałac w Krzeszowicach miał 228 pomieszczeń, w tym około stu pokoi mieszkalnych.



PERSPEKTIVISCHE ANSICHT DES SCHLOSSES KRZESZOWICE.

„Nie o to chodzi, żeby zrobić, tylko żeby robić”

To jedno z ulubionych powiedzonek w rodzinie Działyńskich przypadło do gustu także Annie. Trudno odmówić jej pracowitości, trwającej przez całe życie chęci uczenia się nowych rzeczy, inteligencji, potrzeby pomagania innym. Podobnie jak matka Anna uważała, że najbiedniejszych i najbardziej pokrzywdzonych przez los nie należy się kusić rybą, tylko wyposażyć w wędkę. Dlatego tak wielką wagę przykładła do edukacji – w 1873 założyła szkółkę snycerską dla młodzieży, w 1883 – Towarzystwo Tkackie w Korczynie. Podczas dwóch epidemii cholery bardzo aktywnie włączała się w pomoc ludności Rymanowa, gdzie wraz z dziećmi mieszkała po śmierci Stanisława. W 1901 roku razem z córką założyły tkalnię mechaniczną, zatrudniającą młode, niezamożne kobiety. Pamiętając jak ciężko jej było – bez odpowiedniego przygotowania – poradzić sobie z prowadzeniem gospodarstwa, leczeniem zapadających na przeróżne choroby dzieci, napisała i wydała wiele poradników i broszurek np. *Przepisy praktyczne na czas wojny i niedostatku*, *Poradnik dla matek w wychowaniu małych dzieci i pielęgnowaniu ich w chorobach*, *O użytku ziół naszych krajowych*.

Do końca życia bliższa i dalsza rodzina zarzucała Annie, że wraz z mężem roztrwonili majątek, przeznaczając wszystko co mieli na jałmużny i cele dobroczynne. Chęć odplacenia za grzechy dziadka Stanisława, który przyczynił się do upadku Rzeczypospolitej, zdeterminowała życie obojga.

Staś młodym chłopcem ofiarował się Bogu i Ojczyźnie na zadośćuczynienie za winę Szczęsnego, ślub czyniąc, że ni sił, ni grosza, ni zdrowia nigdy w potrzebie kraju nie odmówi, a sobie odmawiać wszystkiego, co nad ścisłą potrzebę będzie.

IZABELA Z CZARTORYSKICH DZIAŁYŃSKA

To dla niej Tytus Działyński raz jeden się ugiął i pozwolił na wyprawienie w poznańskim pałacu balu – a wszelkich zabaw i towarzyskich spędów szczerze nienawidził.



No ale powód był poważny – jego jedyny syn, Jan, właśnie ożenił się z jedną z najlepszych „partii” jakie można sobie wyobrazić – z Izabelą Czartoryską, księżniczką z prawdziwego zdarzenia – córką księcia Adama Czartoryskiego i Anny Zofii z Sapiehów. Urodzona w 1830 w Warszawie, a wychowana w Paryżu, w Hotel Lambert, żyła w otoczeniu wielu Polaków, ale też arystokracji paryskiej. Rodzice zadbali o jej wykształcenie; zaprzyjaźnieni z Czartoryskimi artyści uczyli ją rysunku, malarstwa, gry na fortepianie. Zwiezione do Paryża z wielu rodzinnych majątków dzieła sztuki traktowane były jak rodzinne pamiątki – „Dama z gronostajem” Leonarda da Vinci wisiła sobie najspokojniej w jednej z sypialni Hotel Lambert. Wychowana w etosie pułaskiego muzeum, założonego przez jej babkę i pełnego narodowych pamiątek, sama zaczęła interesować się sztuką i kolekcjonerstwem. Bez przesady można powiedzieć, że Paryż był wtedy samym centrum świata sztuki. To tutaj zwozi się starożytne artefakty wykopywane podczas prac archeologicznych w Afryce, południowej Europie, całym basenie Morza Śródziemnego.

Na aukcjach kupić można wiele dzieł sztuki, często całych kolekcji wyprzedawanych albo przez znudzonych arystokratów, albo przez tych, którzy mieli mniej szczęścia i do tego kroku zmusiła ich sytuacja finansowa.

Pierwsze dzieła sztuki, które miały dla niej ogromne znaczenie, to ryciny. Ważnym nabytkiem jest też dla niej rzeźba św. Urszuli, którą do dziś podziwiać można w jednej z sal Zamku w Gołuchowie. Kupuje je za pieniądze, które dostaje od babki – bankierki rodziny, która dba o to, aby cała familia miała za co w Paryżu się utrzymać, lokując środki m.in. na paryskiej giełdzie.

Izabella żyła trochę jak pączek w maśle – obracała się w świecie sztuki, stawiała się znaną i uznawaną kolekcjonerką. Trudno się dziwić, że nie miała ochoty wychodzić za mąż. Chyba wcale i za nikogo. A już na pewno nie była trzpiotką, strzelającą na prawo i lewo oczami, by usidlić kogo trzeba. Rodzice jednak wiedzieli – kobieta bez męża traktowana była za dziwadło. W 1857 roku, mimo swojego sprzeciwu, a z woli ojca, została żoną Jana Działyńskiego.



Przez lata zastanawiałam się, dlaczego Izabella się zgodziła – mówi mi Paulina Vogt-Wawrzyniak, kierowniczka oddziału Muzeum Narodowego w Gołuchowie, którą postać Izabelli niezwykle fascynuje

- i nagle mnie oślnięto, zresztą podczas jakiejś rozmowy ze zwiedzającymi gołuchowski zamek. Przecież to była mądra kobieta, dla której pasja była ogromnie ważna. Wybrała sobie męża, przy którym mogła ją realizować, który nie był apodyktyczny, uparty i dominujący. Wybrała mężczyznę, z którym mogła stworzyć partnerski układ, który był w nią wpatrzony, a ona mogła realizować siebie.

GOŁUCHÓW

Po ślubie zamieszkała z mężem w jego zamku z Gołuchowie, który, jak sama pisała „wygląda jak siedziba niedużej kasztelanii w średniowieczu, po ataku i złupieniu”. Faktycznie – mimo wielu remontów przeprowadzanych przez Jana Działyńskiego, zamek wyglądał dość nieszczególnie. Mimo sugestii m.in. brata, aby Gołuchów sprzedać i kupić coś innego, Działyńscy w Wielkopolsce postanowili zostać. A Izabella – przebudować zamek tak, aby stał się jej miejscem na ziemi. Do zamku sprowadzała obrazy i rysunki, pamiątki rodzinne i meble, ale tak na serio zajęła się rezydencją dopiero 15 lat po ślubie, gdy stała się jego prawną właścicielką. Jan postanowił przekazać zamek Izabelli spłacając w ten sposób dług wobec żony – pożyczka mu pieniądze na doposażanie powstańców styczniowych. Izabella raczej polityką się nie interesowała – ku rozpaczy ojca – za to w finansach, jak wszystkie kobiety w jej rodzinie, radziła sobie całkiem nieźle. Nadwyżki kapitału chętnie lokowała, m.in. w akcjach.

Wynajęła architektów, by zrobić z Gołuchowa peretkę na wzór zamków nad Loarą. Mentalność mieszkańców Wielkopolski często doprowadzała ją jednak do rozpaczy. W 1874 pisała do męża: „Zaczynam wierzyć, że w tym kraju nic nie jest możliwe. Uzbrajam się jednak w cierpliwość, żeby przetrwać, ponieważ jestem tak zdegrustowana Gołuchowem, że wstrzymuje się od nic nie robienia; gdyby nie wstyd rzuciłabym to wszystko”.



Zamek na zmianę czarował ją i odpychał. Pisała do przyjaciółki Josephine Roussette: „Już nie wiem, co dalej robić, należałoby pozwolić, by ta cała buda się rozpadła” by potem zapewniać męża: „Wydaje mi się, że nie masz pojęcia, jaki Gótychów jest miły i jak dobrze się tu czuję”.

To dzięki Izabelli gótychowski zamek dziś zachwyca. Staranność, wręcz pietyzm, z jakimi został zmodernizowany to zasługa tego, że Działyńska nigdy nie szła na skróty – wszystko było pod jej kontrolą. Wybór drzwi, okien, materiałów na zastony, tapet, urządzenie parku, we wszystkim uczestniczyła i miała decydujący głos. Gótychów stał się peretką, jej ukochanym dzieckiem – przeniosła do niego elementy architektury, które widziała podczas swoich licznych podróży do Francji czy Włoch.

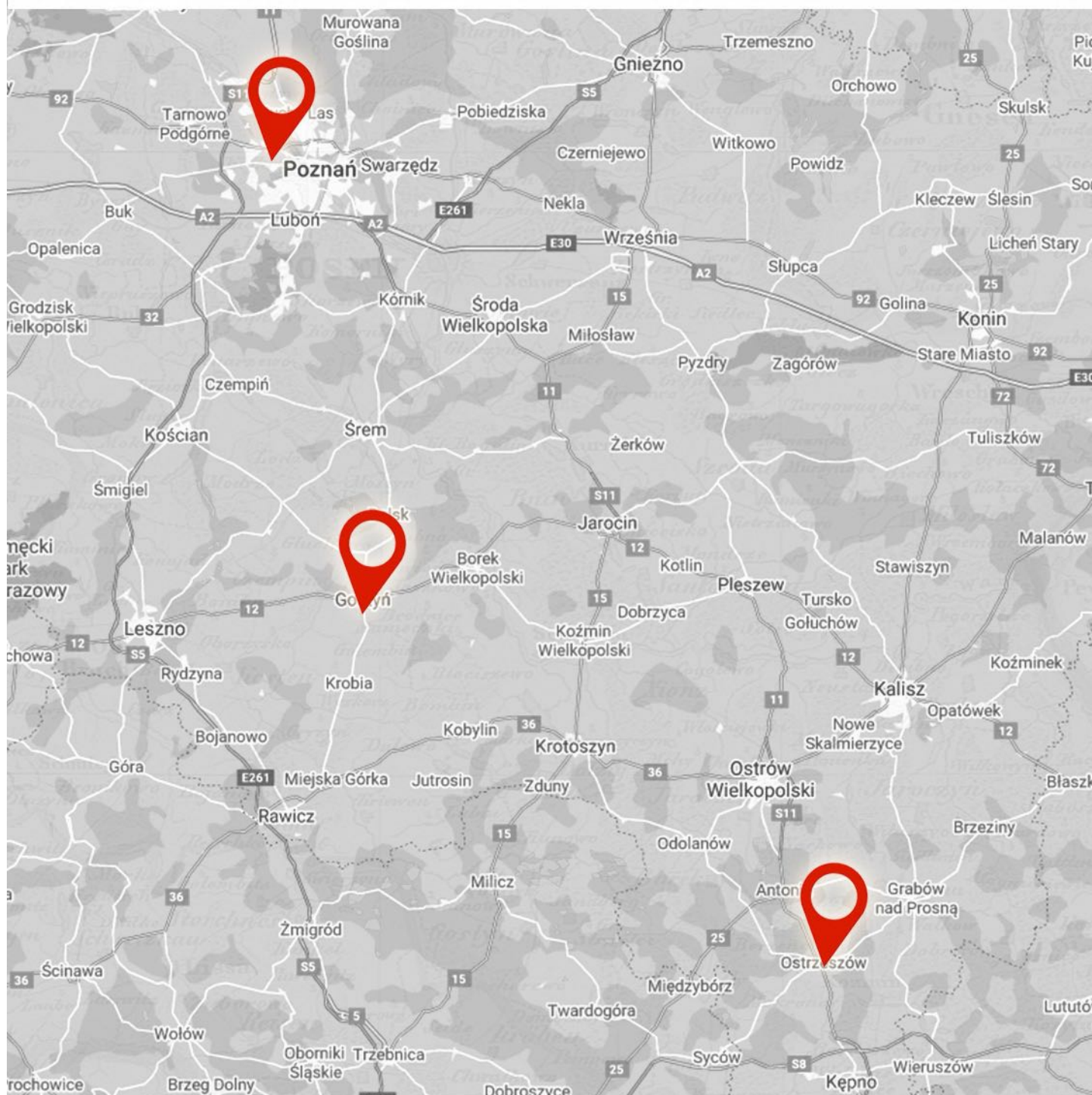
To niesamowite, że na różne ślady trafiam zupełnie przypadkowo. Kiedyś oglądałam zdjęcia z jednego z podparyskich zamków i ze zdziwieniem odkryłam, że skądś znam boazerię z jednego z pokoi. A znam ją z sypialni królewskiej w gótychowskim zamku – Izabella kazała zrobić identyczną, tylko dodała do niej symbole rodziny Leszczyńskich, pierwszych właścicieli Gótychowa. Inspirowała się tym, co ją zachwycało, ale też dodawała do tego coś, co było dla niej ważne – opowiada Paulina Vogt-Wawrzyniak.

Izabella nie zostawiła pamiątek – zostawiła zamek, który, niczym szyfr, można próbować złamać i dowiedzieć się czegoś więcej o właścicielce.

„Kreacja ta, bo na inne miano restauracja ta nie zasługuje, jest jak każde prawdziwe dzieło sztuki zupełnie bezinteresowna. Nigdzie w szczegółach, ani w ozdobach, nie ma nic takiego, co by wyraźnie mówiło o samej twórczyni. A wszystko razem o niej mówi – jak dzieło o artyście” – pisał pod koniec XIX wieku o Zamku w Gótychowie prof. Marian Sokołowski.



WANDA MODLIBOWSKA



Na polanę pod górą Batczyna, 3 km od Ostrzeszowa, od rana ciągną tłumy. Kolej uruchomiła specjalny pociąg dla spragnionych mocnych wrażeń turystów. Fotografowie robią zdjęcie, na którym Wanda Modlibowska z szerokim uśmiechem podaje rękę wyższemu o głowę kpt. Mateuszowi Lzykiemu. Chwilę wcześniej 24 latka odebrała dyplom ukończenia pierwszego kursu szybowcowego kategorii A zorganizowanego przez sekcję szybowcową Aeroklubu Poznańskiego.



Jest początek lipca 1933 r. Chyba nie ma upału, bo widzowie widoczni na zdjęciu mają bluzy i kurtki z długimi rękawami. Młode kobiety i dziewczyny patrzą w kierunku Modlibowskiej wyraźnie zafascynowane. Za chwilę Wanda usiadzie na siodełku szybowca, aby zademonstrować, jak się lata. Obecny na miejscu dziennikarz „Kurjera Poznańskiego” napisze później: „Napięte przez kolegów liny gumowe wyprężają zakotwiczony szybowiec, który w oka mgnienia wystrzela po pochyłości zbocza, unosi się w powietrzu, poczem łagodnym lotem ślizgowym opada kilkaset metrów dalej u stóp Batczyny. Jeszcze szereg dalszych zlotów śledzi z zainteresowaniem publiczność, darząc piękne wyczyny hucznymi oklaskami. W rozmowie z panią Modlibowską dowiadujemy się, że jest już pilotką samolotu silnikowego, lecz sport szybowcowy bez porównania więcej daje jej emocji i bardziej zaspokaja ambicje sportowe, aniżeli samolot silnikowy”.

Wanda na pewno nie była spokojnym duchem; panienką, która zadowoli się haftowaniem czy prowadzeniem domu. Już jako młoda dziewczyna nie mogła w nim zresztą usiedzieć - uprawiała narciarstwo, wioślarstwo, wspinaczkę górską. Skończyła kursy żeglarskie i pływackie, uprawiała kajakarstwo.

CZACHOROWO

Wielka miłość Wandy do lotnictwa zaczęła się w 1929 roku, w jej rodzinnej miejscowości, Czachorowie niedaleko Gostynia. To właśnie tam przeprowadzał ćwiczenia 3 pułk lotniczy z Poznania. Wanda, za chwilę studentka wydziału chemii na Uniwersytecie Poznańskim, zachwycona przyglądała się manewrom. Postanowiła studiować i jednocześnie uczyć się latać. W 1930 roku wstąpiła do Aeroklubu Poznańskiego, w 1931 r. zdobyła licencję pilota samolotowego. Na zdjęciu zrobionym w czerwcu następnego roku, stoi skromnie w otoczeniu kilku pilotów na tle samolotu RWD-4. Jej ojciec, starszy pan w kapeluszu, z dobrotliwym uśmiechem, w którym jest jednak i sporo dumy, spogląda w kamerę aparatu.

Wanda po Batczynie zrobiła kolejne kursy szybowcowe. Okazała się niezwykle uzdolnioną pilotką. „Maria Younga, Wanda Modlibowska i Jadwiga Piłsudska „ostro latały” czego dowodem było dawanie im na przeloty coraz nowszych i doskonalszych szybowców. Te trzy kobiety asy miały ogromny talent i czuły latanie. Stąd też były bardzo popularne – częste reportaże w prasie – i dziś należy podkreślić, iż zaliczały się do elity polskich pilotów „szybowcowych” - wspominała po latach inna miłośniczka szybownictwa, Irena Steinbock-Horbaczewska.



Modlibowska w 1937 pobiła sześć rekordów szybowcowych Polski. Lotnictwo sporo ją jednak kosztowało – musiała wydłużyć czas studiowania i ciężko pracować by móc opłacić kolejne kursy. Córka ziemianina zasuważąca w gostyńskiej cukrowni – to musiało wzbudzać duże kontrowersje. Pracę najemną traktowano wtedy jako ostateczność, coś, co

zdecydowanie nie przystoi kobiecie z dobrego domu. "Dobijałam wtedy trzydziestki. Ale czułam się tak młoda, tak bardzo młoda. Właśnie skończyłam studia na poznańskim uniwersytecie, obroniłam dyplom z chemii nieorganicznej – wydawało mi się, że cały świat stoi przede mną otworem. Studia trwały co prawda nieco przydługo – blisko 10 lat, ale latanie miało swoje prawa, żeby się wyszkolić w pilotażu motorowym, żeby trenować w aeroklubie, trzeba było dysponować okrągłą sumką, no i ciężko harować w cukrowni Gostyń."

Również w 1937 roku bez przygotowania i w zasadzie z marszu, Wanda pobiła też inny rekord: rekord świata.

"O 8:38 rano wystartowałam wystrzelona z lin gumowych. Komar charakteryzował się zwrotnością i małym opadaniem, ale nie był to szybowiec wyczynowy – otwarta kabina osłonięta była tylko owiewką, więc w nocy potężnie zmarzłam. Dotrwałam do ciemności w powietrzu bez żadnych zakłóceń, korzystając z licznych kominów termicznych. Potężnie chciało mi się tylko jeść, gdyż – aby nie zapeszyć – niczego nie wzięłam."

Teraz trzeba jednak było podjąć „męską” – to znaczy czy próbuję pobić męski rekord – decyzję. Powiedziałam sobie bez wahania – tak! Mimo, że wiatr cichł, prądy termiczne wygały, latałam dalej tam i z powrotem na słabym „zaglu” zboczowym. Tym razem głównym motorem mojej decyzji i mojej wytrwałości była chęć... dopieczenia kolegom. Dać im bobu tak, żeby popamiętali, że kobieta też coś potrafi!"

Udało się. Wanda spędziła w powietrzu 24 godziny i 14 minut. W Polsce jej wynik został poprawiony dopiero pod koniec lat 40.

"Ten rekord zrobił sporo szumu. Teraz szło mi już łatwiej i w lataniu silnikowym, w którym na początku przeszłam twardą szkołę, płacąc za naukę jak za zboże i pucując z rycyny zapaprane podbrzusza wystużonych Hanriotów. Startowałam już w lotach okrężnych na koszt aeroklubu, otrzymałam interesującą dla chemika pracę w warszawskim Instytucie Badań Technicznych Lotnictwa."





CIEKAWOSTKA

Szybowce szkoleniowe używane w latach 30 miały niewiele wspólnego z wygodnymi i nowoczesnymi szybowcami znanymi z dzisiejszych lotnisk. Konstrukcja samolotu, na którym uczyła się latać Wanda, czyli CWJ była tak prosta, że można go było zrobić samemu – zresztą taki podręcznik został przez projektantów – inż. Wacława Czerwińskiego i inż. Władysława Jaworskiego – wydany. Dzięki Opisowi budowy szybowca szkolnego CWJ na początku lat 30 powstało co najmniej kilkadziesiąt samolotów, zbudowanych w szkołach szybowcowych. Materiały do budowy bądź części metalowe można było zamówić w Warsztatach ZASPL (Związku Awiatycznego Studentów Politechniki Lwowskiej).



Na początku września 1939 roku Wanda została zmobilizowana, a 4 września 1939 roku przydzielona – jako pilot łącznikowy – do Eskadry Łącznikowej Sztabu Głównego Wojska Polskiego w Warszawie.

„Wcześniej rano, ale już po pierwszym ataku na stolicę, zapukał do mnie żołnierz – goniec z rozkazem zameldowania się na lotnisku. Byłam zmobilizowana, wskoczyłam w mój aeroklubowy mundur i godzinę później leciałam już jako pilot RWD 13 do Dębina z oficerem łącznikowym na pokładzie. Starłam się przemykać nisko, by nie dopadł nas hitlerowski myśliwiec. Gdzieś ostrzelała omyłkowo moją awionetkę nasza artyleria. Ostatecznie wylądowałam w Uleżu, bo nasze lotnisko w Szkole Orłąt było już zbombardowane. Po wykonaniu zadania wróciliśmy szczęśliwie.”

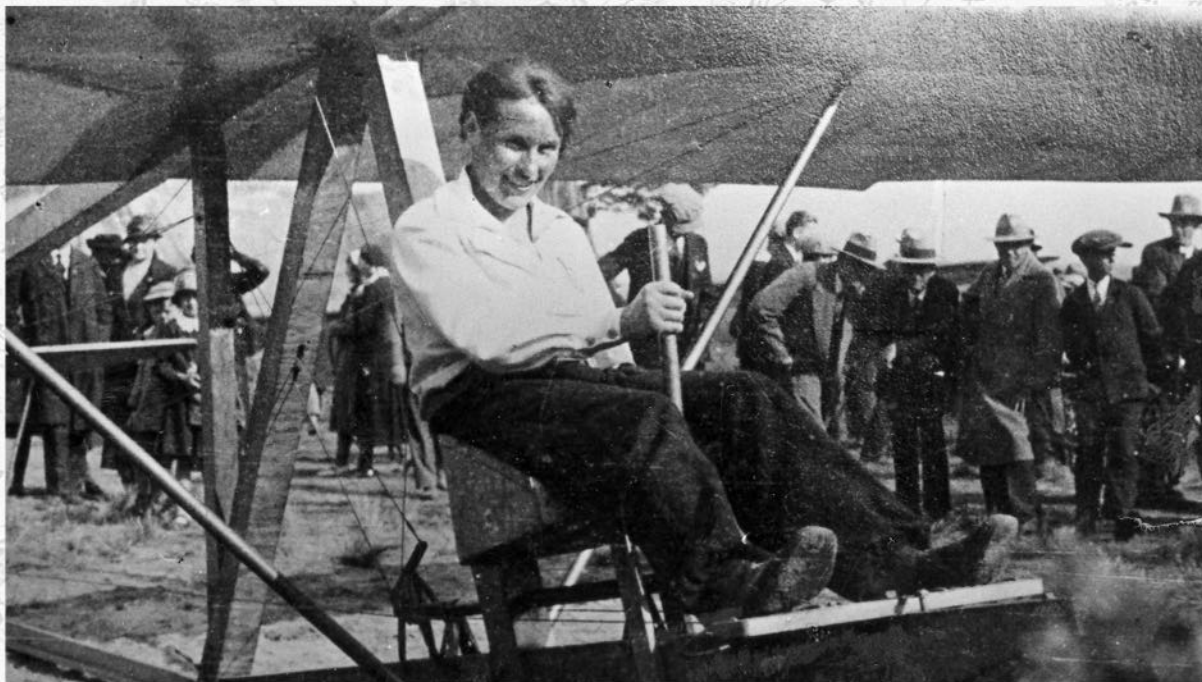
Po kapitulacji Modlibowska razem z innymi pilotkami przedostała się do Rumunii, stamtąd do Francji. Tam, po rozmowie z gen. Sikorskim podjęła się pracy w konspiracji. Janusz Ziłkowski w książce „Te wspaniałe kobiety” pisze:

„Powzięta decyzję dostania się za wszelką cenę z powrotem do Polski, gdzie w województwie poznańskim pozostały jej matka i siostra. Ponieważ jedyną drogą do tego celu był czynny udział w pracy podziemnej organizacji wojskowej, Wanda po przybyciu do Paryża zgłosiła się w oddziale wywiadowczym sztabu Naczelnego Wodza, wyrażając gotowość podjęcia się roli kuriera-skoczka spadochronowego dla konspiracyjnej komunikacji pomiędzy Francją a Polską. Jej oferta została przyjęta.”

Sikorski miał dla niej inny plan. Widząc, z jakim charakterem ma do czynienia, w maju 1940 skierował ją przez Stambuł, Budapeszt, Słowację a wreszcie Piwniczną do Warszawy. W Budapeszcie została kurierką utrzymującą łączność między krajem a Delegaturą Rządu. Dostała się do Warszawy, a potem wielokrotnie przekraczała granice z zaszyfrowanymi wiadomościami, często podróżując przez Tatry. Przydało się jej przygotowanie piechurki i miłośniczki wspinaczki.

W Tatrach bardzo często towarzyszył jej zakopiański kurier Józef Krzeptowski, zwany „królem kurierów”, który we wspomnieniach określa Modlibowską „cysorzem kurierów”. Wojciech Adamiecki, dziennikarz, reportażysta i tłumacz, tak opisywał spotkanie Krzeptowskiego i Modlibowskiej:

„Józek dobrze wspominał tylko kilku pilotów. Ufał w górach wyłącznie innym kurierom. No i bardzo szanował jedną kobietę, łączniczkę generała Sikorskiego. Potrafiła być twarda jak on. Zapewne była to Wanda Modlibowska, kurierka Delegatury Rządu. Przyjechała kiedyś do Zakopanego, zameldowała się w umówionym punkcie, ale „Ujka” ani śladu. Kiedy go znaleźli inni kurierzy był zalany w pestkę. „Ujek” wlał w siebie hektolitry kawy, wyrzygał co miał wyrzygać i zameldował się w nadziei, że Modlibowska pozwoli mu jeszcze trochę odsapnąć. A ona: „Przeprowadzisz mnie natychmiast choćbyś z kaca zdechł!”. „Wyobraź sobie Wojtuś - opowiadał „Ujek” - ta cholera wyjęła pistolet, dźga mnie w plecy, popędza, aż kac minął.”



KOBYLNICZA

Po wojnie jako instruktorka szybowcowa, Modlibowska pracowała przy reaktywacji Aeroklubu Poznańskiego w Kobylnicy. Wyszkoliła wielu szybowników i przyszłych pilotów. Wspomnienia jej uczniów są w zasadzie do siebie podobne: była skromna, bardzo konkretna, niezwykle życzliwa.

Wanda była człowiekiem bardzo skromnym, mało mówiącym o sobie i swoich osiągnięciach, do których należały rekordy krajowe i jeden międzynarodowy, który po wojnie przetrwał przez 10 lat. Prawie nic nie wiedziałam o jej udziale w wojnie 1939 roku, a tym bardziej o jej działalności i zasługach w czasie późniejszym a zwłaszcza podczas okupacji jak i w okresie powojennym.

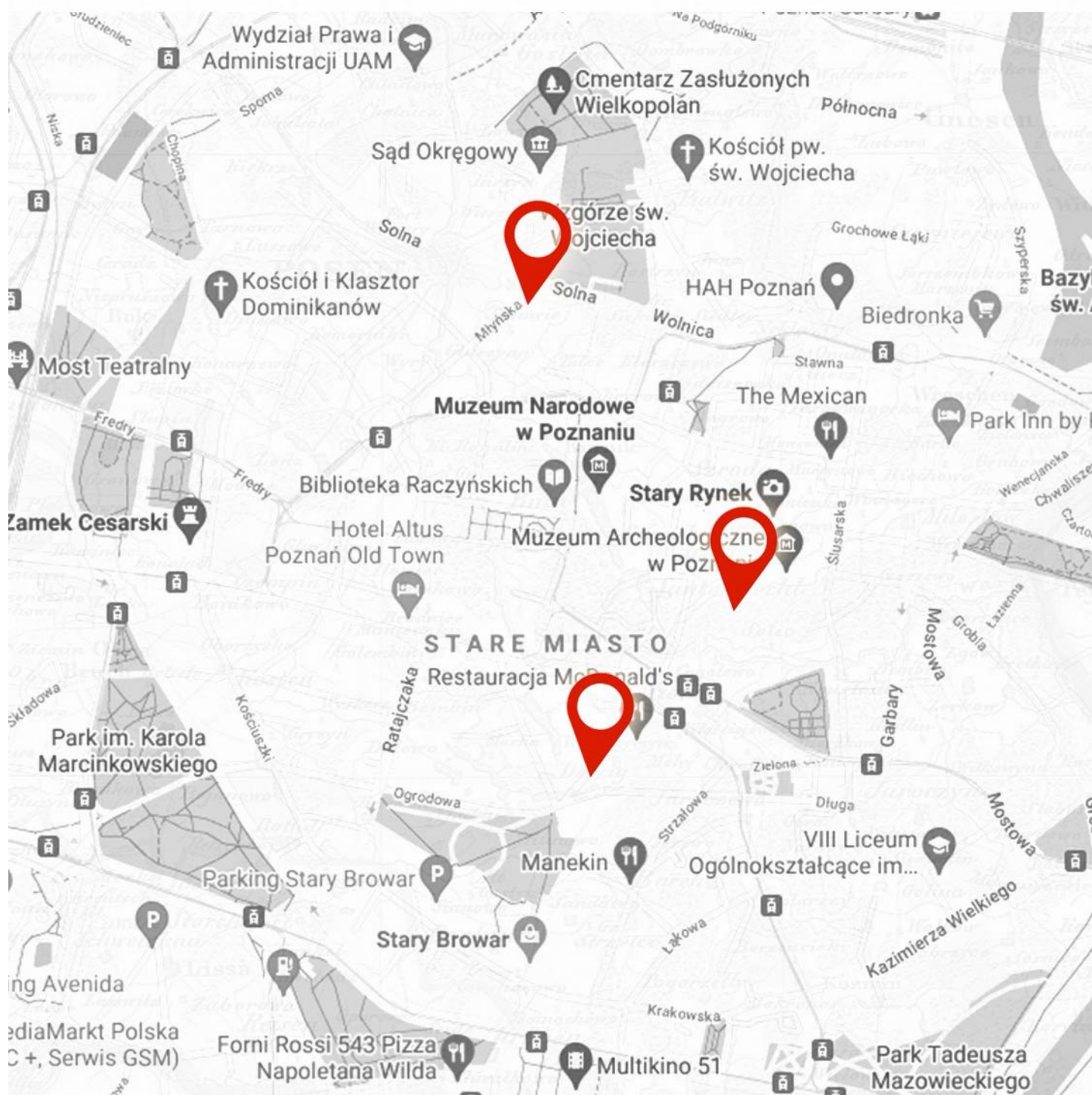
Wanda od początku była przeciwniczką komunistycznego reżimu. Miała też na koncie wiele innych „minusów” w rozumieniu władz PRL – działała w AK, była współpracowniczką Sikorskiego, pochodziła z rodziny ziemiańskiej. Podczas weryfikacji członków aeroklubów i pilotów przeprowadzonej w 1948 roku Modlibowskiej odebrano licencje i zabroniono wstępu na lotnisko. Została uznana za element „obcy klasowo”. Ale tego było władzy ludowej mało – 17 lipca 1948 została bez powodu zatrzymana na plaży w Świnoujściu pod zarzutem próby nielegalnego przekroczenia granicy.

Została skazana na 18 miesięcy więzienia. Propaganda PRL robiła wszystko, aby wydarzenia te przedstawić w jak najgorszym dla Modlibowskiej świetle.

Odpowiednie władze zawiadomiły Uniwersytet (Poznański, Wanda pracowała jako asystentka na Wydziale Farmacji), że Wandę Modlibowską zatrzymano na kuterze płynącym nielegalnie do Szwecji. Podobno aresztująca „władza” wyraziła zdziwienie, że słynna lotniczka ucieka z Polski wodą, a nie powietrzem. Wandę czekało kilkuletnie więzienie, w ostatnim etapie w Inowrocławiu z funkcją kierowniczką pralni. Gdy zobaczyliśmy się po raz pierwszy po jej zwolnieniu, ofiarowała mi się ze śmiechem urządzić fachowo pranie dla całej rodziny. – wspominała Aleksandra Smockiewiczowa.

Po wyjściu z więzienia, mimo bieżącej znajomości języków, wykształcenia i umiejętności, nie mogła przez lata znaleźć pracy. Zatrudniła się więc jako sprzątaczką. Po latach udało jej się znaleźć pracę w Urzędzie Patentowym, a potem w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego „PolSERVICE”. Wanda Modlibowska wylatała na szybowcach 738 godzin, na samolotach 1123 godziny. Należało do niej 9 rekordów Polski, w tym cztery razy pobiła rekord długości trwania lotu. Dziś imię Wandy Modlibowskiej nosi poznański aeroklub.

ANIELA I ZOFIA TUŁODZIECKIE



ANIELA TUŁODZIECKA

Jest 13 czerwca 1913 roku. Pod pruskim więzieniem przy ulicy Młyńskiej w Poznaniu – tłumy. Punktualnie o 4 po południu wielkie drzwi otwierają się powoli i staje w nich drobna, szczupła i niepozorna kobieta. Tłum reaguje wybuchem entuzjazmu i radości.

„Zróbcie miejsce dla panny Anieli!!! Dajcie przejść!”

Wiwatujący ludzie z szacunkiem rozstępują się i przepuszczają Anielę Tułodziecką do dorożki. Podobne tłumy czekają ją jednak przed domem, przy Ogrodowej 19, kamienicy zwanej przez poznaniaków „żelazkiem”. Jak pisze Bożena Stelmachowska, wspominając Tułodziecką:

„Dokoła domu jej zebrały się wówczas tłumy kobiet i dzieci w liczbie przeszło tysiąca, z naręczami kwiatów w rękach, z okrzykami entuzjazmu na ustach, ze łzami i modlitwą. Działwa tworzyła szpaler wzdłuż schodów, obrzucając pękami kwiatów tę, która dla jej dobra, w obronie młodych dusz, w ofierze za narodowość całego pokolenia cierpiąca kary i prześladowania, uwieńczona kilkunastodniowym, męczeńskim pobylem w celi samotnej.”



CIKAWOSTKA

Poznańskie „żelazko” - nawiązujące nazwą i nieco wyglądem do nowojorskiego Flatiron Building - zostało zbudowane w 1900 na trójkątnej parceli u zbiegu ulic Krysiewicza i Ogrodowej. Neorenesansowa kamienica została jednak zburzona w 2011 roku po tym, jak naruszona została jej konstrukcja. Poznaniacy, historycy i miłośnicy architektury byli załamani. Na szczęście nowy właściciel gruntu zdecydował się na odtworzenie kamienicy w kształcie sprzed

ponad 100 lat. Architekci pieczętowiec przygotowali projekt elewacji. Dzięki fragmentowi ściany, który nie został zburzony, mogli wiernie odtworzyć detale i proporcje, a nawet kolejne kolory tynków. Dzięki pomocy mediów i poszukiwaniom poznaniaków, zrekonstruowali ze starych zdjęć nawet wieżyczkę, którą kamienica straciła prawdopodobnie w czasie II wojny światowej.



Aniela Tułodziecka została skazana na więzienie tak naprawdę dla przykładu. Powodem było prowadzenie nielegalnego zebrania, na którym – wbrew zakazowi – mówiono po polsku. Tylko że takie spotkania Tułodziecka organizowała od lat, a były to... pogadanki dla matek na temat wychowania dzieci. Za zorganizowanie zebrania Tułodziecka miała zapłacić grzywnę – 60 marek, albo odbyć karę 12 dni pozbawienia wolności. Wybrała to drugie. „Władzom długo nie dałam sposobności schwycenia mię na przekroczeniu prawa, skorzystano więc z jakiegobądź pozoru, aby się mnie cześcić” – pisała w notatkach z więzienia.

Poznaniacy – ci narodowości polskiej, rzecz jasna – kochali Anielę Tułodziecką przede wszystkim za jej niewyobrażalnie niezłomną postawę wobec pruskiego zaborcy. To w ogromnej mierze jej zawdzięczamy to, że społeczeństwo poznańskie nie dało się zniemczyć, a tysiące polskich dzieci, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem przez ponad ćwierć wieku uczyło się na tajnych lekcjach w prywatnych domach języka polskiego, polskiej historii, geografii i literatury.

Towarzystwo „Warta”, które założyła w 1894 w odpowiedzi na pruską ustawę zakazującą nauki języka polskiego w szkołach, prowadziło lekcje w pełnej konspiracji. Aby jednak działać legalnie nie ograniczało się do samego nauczania. W ramach stowarzyszenia tworzono biblioteki dla dzieci, opiekowano się najmłodszymi w tzw. ogródkach, na wycieczkach, majówkach, wieczorkach amatorskich. Jak bardzo zdeterminowana była Tułodziecka w walce o wychowanie w polskości, świadczą chociażby ogłoszenia prasowe dotyczące „kilkugodzinnej opieki nad dziećmi”, w rzeczywistości będące przypomnieniem o lekcjach:

„Szanownym matkom i osobom mającym dzieci na wychowaniu zwracam uwagę na powyższe zawiadomienie. Skarżono mi się, że nie przysyłacie tyle dzieci, ile przyjść powinno, a przecież potrzebują one dziś większej opieki niż dawniej. Proszę was gorąco, Szanowni Rodzice, korzystajcie z dobrego serca uczynnych ludzi i nie zwlekajcie zgłaszania dzieci. Chociaż zajęci pracą codzienną, macie święty obowiązek dbać o ich wychowanie, więc korzystajcie z każdej nadarzonej sposobności pomagającej wam w tym dziele. Aniela Tułodziecka”

BAZAR

Przed wybuchem I wojny światowej nastroje w zaborze pruskim były niezwykle napięte – coś ewidentnie wisiąco już w powietrzu. Polacy i Polki coraz jawniej zaczęli okazywać swoje niezadowolenie z policyjnych represji i prześladowań. Emocje wybuchły z ogromną mocą w czasie uroczystości w 50-lecie Powstania Styczniowego. Po nabożeństwie w poznańskim kościele św. Marcina tłum ludzi odśpiewał pieśni „Z dymem pożarów” i „Boże coś Polskę”, w XIX wieku uznawane za jedne z narodowych hymnów. Tysiące osób śpiewających wersy „Przed twe ołtarze zanosim błaganie, Ojczyznę wolną pobłogosław Panie”, stojących wokół kościoła i w pobliskich uliczkach, zrobiły na osłupiałej ze zdziwienia pruskiej policji ogromne wrażenie. Aby sobie tę chwilową niemoc odbić, uzbrojeni żandarmi wtargnęli na konspiracyjną uroczystość wieczorną w poznańskich Bazarze. „Widzę jeszcze Anielę Tułodziecką, stojącą na krześle i protestującą głośno przeciwko niewoli pruskiej i krępowaniu objawów ducha polskiego.” – opowiadał jeden z uczestników zdarzenia.



CIEKAWOSTKA

Bazar Poznański od początku swojego istnienia był ostoją polskości w pruskim zaborze. Taki zresztą był cel spółki powołanej przez Karola Marcinkowskiego i innych poznańskich społeczników – stworzyć miejsce, w którym nie tylko kwitnąć będzie wymiana handlowa i gospodarcza, ale też polskie życie kulturalne i społeczne. Nie było to proste – w ściśniętym murami fortecznymi Poznaniu znalezienie wolnej działki graniczyło z cudem. Ten się wydarzył w 1838 roku, gdy władze Pruskie zdecydowały się przebić ulicę ze Starego Rynku do nowego (w założeniach) centrum miasta, czyli na Plac Wilhelmowski. Bazar stanął na rogu ulicy Nowej i Alei Wilhelmowskiej. Na parterze oddanego w 1841 roku do użytku budynku, znajdowały się sklepy – m.in. skład żelazny Hipolita Cegielskiego, późniejszego założyciela słynnych zakładów przemysłowych. Wyższe pięta zajmował hotel dla polskich przedsiębiorców i innych gości. Chwilę przed wybuchem Powstania Wielkopolskiego w 1918 roku w Bazarze zameldował się Ignacy Jan Paderewski, którego przyjazd do Poznania stał się impulsem do rozpoczęcia rebelii.

Za swoje zaangażowanie Tutodziecka płaciła wysoką cenę – wszystkie jej listy były sprawdzane przez pruską cenzurę, każdy jej

krok śledzony, mieszkanie obserwowane. Aniela była jednak przezorna, inteligentna i bardzo ostrożna.

„Sposób jej pracy nie miał w sobie nic z wybuchowości rewolucyjnej i nic z demagogicznego, egoistycznego podniecania tłumów. Gdzie tylko znajdowała możliwość, starała się umiejętnie i przymyślnie stosować metodę legalnego postępowania, obwarowywując założone przez siebie instytucje przywilejami prawnymi. Jednakże tam, gdzie przemoc pruska stawiała tamę zakazów, niemożliwą do przebycia, potrafiła zawiązywać misterne sieci podziemne, podtrzymywane konsekwentnie, odważnie i rozumnie. Nie prowokowała nikogo i nikogo nie podniecała do prowokacji nieopatrznych i bezcelowych, ale nigdy nie ugięta się przed prześladowaniem, nigdy nie uległa się pruskiego policjanta, nigdy nie wysuwała bliskich tam, gdzie trzeba było własną osobą płacić za ofiary, składane na ołtarzy ojczyzny”

Tutodziecka angażowała się też w inną walkę – o prawa kobiet. Razem ze swoją siostrą Zofią organizowały pierwsze, poznańskie wiece dotyczące równouprawnienia kobiet, także w kwestiach zawodowych.



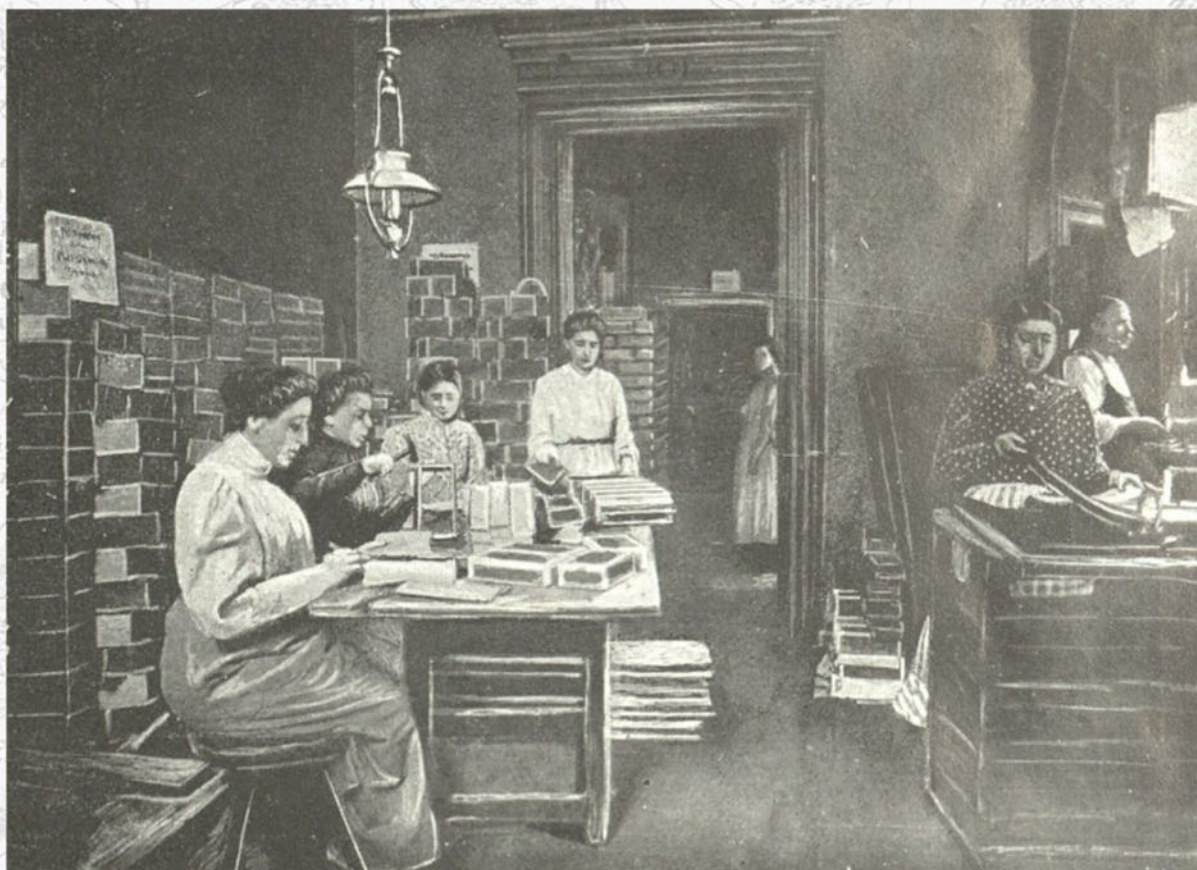
ZOFIA TUŁODZIECKA

„Inteligentna kobieta, czy ta z ludu czy ze sfer wyższych, na każdym stanowisku znaleźć się potrafi – pozwólcie jej tylko być sobą – nie pielęgnujcie sztucznie w niej jakichś przestarzałych form i zasad niezgodnych z duchem czasu” – pisała Zofia Tułodziecka. Wiedziała, o czym mówi – potrafiła znaleźć się wszędzie i poradzić sobie w każdej sytuacji.

W domu rodzinnym Tułodzieckich się nie przelewało. Rodzeństwa było sporo (niektóre źródła podają nawet 15!), a dochody ojca niewielkie. Zofia szybko zdecydowała, że musi zacząć zarabiać, aby pomóc w utrzymaniu rodziny. Mając 16 lat postanowiła, że zostanie krawcową. Ruszyła do Warszawy, aby tam uczyć się fachu. Po powrocie do Poznania założyła swoją własną pracownię krawiecką. Zaczynała od jednego pokoiku przy ulicy Strzeleckiej, by z czasem prowadzić salon dla poznańskich fashionistek. „Rzetelną, sumienną i umiejętną pracą, wytwornem poczuciem smaku stworzyła Tułodziecka pracownię krawiecką w swoim czasie najpierwszą w Poznaniu, którą wraz z siostrą Anielą prowadziła przez długie lata” – pisała

jej biografka Aniela Koehlerówna w 1933 r. Zofia nie tylko ubierała poznańianki. Pomagała im również spełniać się zawodowo. Uważała, że kobiety mają prawo wybrać takie zajęcie, które im odpowiada, czy się to komuś podoba czy nie. Założone przez nią „Stowarzyszenie Personelu Żeńskiego w Handlu i Przemysle” nie tylko pomagało kobietom znaleźć pracę, ale też udzielało porad prawnych i wspierało na trudnym rynku. Sytuacja robotników zatrudnionych w przemyśle była ciężka, kobiet – dodatkowo skomplikowana. Nie tylko musiały borykać się z codzienną niechęcią mężczyzn. Problemem były też niższe zarobki. W fabryce chemicznej Milcha na poznańskich Jeźcach, gdzie sporą część załogi stanowiły kobiety, pracownicy wykwalifikowani zarabiali ok. 4,30 marek dziennie, niewykwalifikowani 2,50 marek, a kobiety jedynie 1,30.

Zofia stała się najważniejszą postacią kobiecego, poznańskiego ruchu zawodowego. Szukała sposobów na to, jak pomóc pracującym. Jednym z jej pomysłów było założenie w 1907 r. niewielkiej spółdzielni, „Pracowni Sukien”. Zysk dzielony był między wszystkie zatrudnione tam osoby.



Razem z siostrą Aniłą mocno angażowały się też społecznie. Ich działania krytykowała poznańska prasa. Najbardziej dostawało się siostram za organizowanie tzw. wieców. W październikową niedzielę 1907 roku zorganizowały spotkanie dla przeszło 400 kobiet w sali Bazaru. Prelekcje wygłosiło kilka mówczyń. Zofia Tułodziecka przekonywała o „potrzebie uświadamiania kobiet w sprawach społecznych i ekonomicznych”. Nie zachował się niestety tekst wystąpienia, ale z artykułów opisujących to wydarzenie wynika, że Tułodziecka z wielką troską pochylała się nad losem kobiet – szczególnie tych, które „z powodu smutnych stosunków społecznych nie zdążają na siebie zarobić tyle, ile koniecznie potrzebują na utrzymanie”. Sytuacja takich kobiet była rzeczywiście dramatyczna – pamiętajmy, że nie było systemowej opieki ani comiesięcznych świadczeń socjalnych. Dlatego tak ważne było nie tylko powstanie i utrzymanie organizacji, która wspierałaby kobiety na rynku pracy, ale też przekonanie Wielkopolanek, że warto do niej wstąpić. Bierności kobiet obawiały się zresztą założycielki bardzo, mając jednak świadomość, że to nie ich wina, ale „uprawianej kultury”. Tułodziecka była zdania, że kobiety posiadają równie twórcze umysły, co mężczyźni, a w praktycznym i codziennym życiu są o wiele lepiej zorientowane. Dlatego nie mogła zrozumieć, dlaczego kobiety godzą się na to, by grać drugorzędną rolę w świecie. „Świat potrzebuje dziś kobiety innej, nowej, wolnej obywatelki, któraby obok mężczyzny

ako towarzyszka pracowała wypełniając próżnie, jakie się tworzą w tych społeczeństwach, w których kobiety są praw pozbawione.” Oczywiście nie wszystkim taka postawa się podobała. W konserwatywnym „Dzienniku Poznańskim” pojawiały się głosy, że kobiety nie powinny angażować się w taki sposób, lecz być wierne ideałom matki-Polki. Nie robić wokół siebie hałasu, czy – broń Boże! – występować na arenie publicznej. Jedną z czytelniczek „Dziennika Poznańskiego” pisała: „Feminizm wybujały, o którym matko-polko piszesz, jest tworem Twojej wyobraźni, na prowincji bowiem nic o nim nie wiemy – za to pragniemy wszystkie być prawem obywatelkami i czynnymi polkami. Piszesz Pani, że występowanie publiczne kobiet uważasz za objaw niezdrowego feminizmu. Zapytuję więc Ciebie, jaki feminizm uważasz za zdrowy, bo ja potępiam wszelki feminizm”.

Wbrew konserwatywnym zapędom, „Stowarzyszenie Personelu Żeńskiego w Handlu i Przemysle” działało bardzo prężnie – trudno się dziwić, było niezwykle potrzebne. Biuro mieściło się przy ulicy Wrocławskiej, na miejscu można było poczytać prasę i skorzystać z biblioteczki oraz porad dyżurujących ekspertów. Zofia Tułodziecka zdawała sobie sprawę, że tylko mocna i silna pozycja ekonomiczna i społeczna kobiet umożliwi im walkę o inny rodzaj równouprawnienia – polityczny. W tym zresztą była zgodna z Pauliną Kuczalską-Reinschmit, zagorzałą feministką i redaktorką pisma Ster.



Literatura

1. *Tron książęcy 'ad Sanctam Mariam' w Poznaniu w świetle ponownych dociekań analitycznych* Michał Kara w *Slavia Antiqua*: czasopismo poświęcone starożytnościom słowiańskim, Tom 47 (2006) s. 99-160,
2. *Kodeks Dyplomatyczny Wielkopolski T.1 Zawiera numera 1-616 lata 984-1287*
3. *Poznań – od grodu do miasta*, Hanna Kočka-Krenz, *Archaeologia Historica Polona*, tom 23, 2015
4. *Nekropolie Piastów*, Wojciech Mądry, praca doktorska napisana pod kierunkiem prof. nadzw. PAN Ryszarda Grzesika
5. *Stauroteka Lednicka. Materiały, studia i analizy*, Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy, wydanie II, Lednica 2015
6. *Tu się wszystko zaczęło. Rola Poznania w państwie Pierwszych Piastów*. Teksty wykładów wygłoszonych na sympozjum naukowym zorganizowanym przez Oddział Polskiej Akademii Nauk i Wydział Teologiczny UAM w Poznaniu dnia 8 grudnia 2009 roku
7. *Tu się wszystko zaczęło*, Muzeum Archeologiczne w Poznaniu, Poznań 2021
8. Materiały Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy
9. *Dobrawa i państwo Przemysławów* – video YT, <https://www.youtube.com/watch?v=-gT-1Mjd5DY>, dostęp październik 2021
10. *Dziennik Bibianny Moraczewskiej*, wydany z oryginału przez dr. Dobrzyńską-Rybicką, dostęp listopad 2021 Wielkopolska Biblioteka Cyfrowa <https://www.wbc.poznan.pl/dlibra/publication/30257/edition/47560>
11. *O potrzebie transnarodowego spojrzenia na „kwestię kobiecą” pod zaborem pruskim na przełomie XIX i XX wieku*, Agnieszka Szudarek w *Czasopismo Naukowe Instytutu Studiów Kobiety*,
12. *Dwóch rodzonych braci: powieść, cz. I-II*, Moraczewska Bibianna, Poznań : Nakładem i Czcionkami N. Kamieńskiego i spółki, 1859.
13. *Bibianna Moraczewska, portret (nie)pełny poznańskiej konspiratorki* w *Kronika Miasta Poznania*, 2008 tom 1
14. *W XIX wiecznym Poznaniu*, Maria i Lech Trzeciakowscy, Wydawnictwo Poznańskie 1987
15. *Przechadzki po Poznaniu*, Marceli Motty
16. *Zbiór modłów narodu polskiego podczas pokutnej jego niewoli*, napisany i wydany przez Walentego Stefańskiego, Wielkopolska Biblioteka Cyfrowa <https://www.wbc.poznan.pl/dlibra/publication/104044/edition/115109>, dostęp październik 2021
17. *Instrukcja dla sióstr Komitetu Opieki rannych na powiatach*, Wielkopolska Biblioteka Cyfrowa, dostęp listopad 2021, <https://www.wbc.poznan.pl/dlibra/publication/117228/edition/128356/content>
18. *Wielkopolskie damy*, Krzywobłocka Bożena, Poznań 1986
19. *Dzieje przyjaźni entuzjastek w świetle listów Narcyzy Żmichowskiej do Bibianny Moraczewskiej*, Maria Woźniakiewicz-Dziadosz

20. *Bibianna Moraczewska - niezwykle losy działaczki niepodległościowej*, Angelika Blinda, Histmag – www.histmag.org/Niezwykle-losy-Bibianny-Moraczewskiej-1811-1887-11617 - dostęp październik 2021
21. *Julia Molińska-Woykowska (1816-1851)* - Tadeusz Gospodarek, monografia, Wrocław 1962
22. *W dziewiętnastowiecznym Poznaniu*, Lech Trzeciakowski, Maria Trzeciakowska,
23. *Wielkopolski alfabet pisarek*, pod redakcją Ewy Kraskowskiej i Lucyny Marzec, Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2012
24. *Materiały Muzeum Historii Ubioru w Poznaniu*
25. *Znany Nieznany Prezydent Poznania. Rzecz o Jarogniewie Drwęskim*. Waldemar Łazuga, Wydawnictwo Miejskie, Poznań 2005
26. *Portret rodziny z herbem we wnętrzu*, Waldemar Łazuga, Wydawnictwo Poznańskie, 2018
27. *Udział kobiet w Powstaniu Wielkopolskim 1918-1919*, Anna Bartóg,
28. *M. Rezler, Powstanie Wielkopolskie 1918-1919. Spojrzenie po 90 latach*, Poznań 2008
29. *Wybrane aspekty służby sanitarno-medycznej i ich znaczenie w Powstaniu Wielkopolskim*, Joanna Cwojdzńska, Maciej Wilczak,
30. *Wanda Modlibowska 1909-2001*, Opracowanie Ludwik Misiek, Radostaw Górzeński Poznań 2007
31. *Itła. Opowieść o Kazimierze Itłakowiczównie*, Joanna Kuciel-Frydryszak, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2017
32. *Trazymeński zajac, Kazimiera Itłakowiczówna*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1968
33. *Lekcje u Itłakowiczówny*, Józef Ratajczak, Krajowa Agencja Wydawnicza, Poznań 1986
34. *Portrety godzin*, Łucja Danielewska, Czytelnik Warszawa 1987
35. *Wydarzenia 1848 r. w poznańskim w świetle listów i relacji Działyńskich*, Pamiętnik Biblioteki Kórnickiej Z. 22.
36. *Gotuchów. Rezydencja magnacka w świetle źródeł*, Róża Kąsinowska, Ośrodek Kultury Leśnej w Gotuchowie
37. *Mój dziennik*, Anna Działyńska, Wielkopolska Biblioteka Cyfrowa,
38. *Wiecowniczkę. Zofia Tułodziecka i początki radykalnego zawodowego ruchu kobiecego w Wielkopolsce*, Jarosław Urbański, Oficyna Wydawnicza Bractwo Trojka
39. *Kwestia narodowa i kwestia kobieca. Zadania Wielkopolanek w obliczu zaostrzenia polityki germanizacyjnej w 1908 r. w opinii warszawskich czasopism dla kobiet*, Agnieszka Szudarek, Uniwersytet Szczeciński
40. *Kobieta w Prusach 1871-1933*, Dariusz Łukasiewicz, Instytut Historii PAN w Poznaniu
41. *Przemówienia wygłoszone na wieczorze ku czci Anieli Tułodzieckiej w dniu 2 kwietnia 1933 roku*, Poznań 1933

Spis zdjęć i ilustracji

1. *Dobrawa, Jan Matejko, źródło: Wikipedia, domena publiczna*
2. *Kościół Najświętszej Marii Panny, w tle Katedra Poznańska, fot. Mikołaj Kirschke*
3. *Trasa orszaku Dobrawy, grafika: Szymon Felkel*
4. *Otto I, grafika, źródło: Wikipedia, domena publiczna*
5. *Kościół Najświętszej Marii Panny, Ostrów Tumski Poznań, fot. Mikołaj Kirschke*
6. *Zarysy palatium Mieszka I i kaplicy przypałacowej, fot. Paulina Kirschke*
7. *Tron w ścianie Kościoła Najświętszej Marii Panny, fot. Paulina Kirschke*
8. *Średniowieczna temperówka, fot. Paulina Kirschke*
9. *Ślady fundamentów palatium w Gieczu, fot. Paulina Kirschke*
10. *Stauroteka, źródło: Wikipedia, domena publiczna*
11. *Bibianna Moraczewska, fot. Muzeum Narodowe w Poznaniu, autor nieznany, źródło: Wikipedia, domena publiczna*
12. *Dworek w Zielątkowie, fot. Paulina Kirschke*
13. *Zielątkowo, fot. Paulina Kirschke*
14. *Mapa Poznania, Grundriss der Stadt Posen, litografia ręcznie kolorowana, 1856, wyk. F. Corvinus, ze zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu*
15. *Zrzut ekranu, okładka Zbiór modłów narodu polskiego podczas pokutnej jego niewoli, napisany i wydany przez Walentego Stefańskiego, źródło: Wielkopolska Biblioteka Cyfrowa*
16. *Święty Marcin, Poznań, autor nieznany, źródło: Wikipedia, Wikimedia Commons*
17. *Mapa Poznania, Cyryl Cyfrowe Repozytorium Lokalne, Wydawnictwo Miejskie Posenania*
18. *Rycina z Dziennika Domowego, 29.03.1843, Wielkopolska Biblioteka Cyfrowa dostęp październik 2021, <https://www.wbc.poznan.pl/dlibra/publication/43493/edition/60321/content>*
19. *Pocztówka „Posen”, Cyryl Cyfrowe Repozytorium Lokalne, Wydawnictwo Miejskie Posenania*
20. *Pocztówka „Posen. Alter Markt”, źródło: fotopolska.eu*
21. *Zdjęcie Izabeli Drwęskiej, źródło: Archiwum Państwowe w Poznaniu*
22. *Pomnik Powstańców Wielkopolskich, fot. Paulina Kirschke*
23. *Izabela Drwęska, za Waldemar Łazuga, „Znany-nieznany prezydent Poznania. Rzecz o Jarogniewie Drwęskim”, Poznań 2005r., s.65*
24. *Pocztówka „Posen. Raczynski'sche Bibliothek”, Cyryl Cyfrowe Repozytorium Lokalne, Wydawnictwo Miejskie Posenania*
25. *Trzy zdjęcia PCK oddział w Poznaniu, Cyryl Cyfrowe Repozytorium Lokalne, Wydawnictwo Miejskie Posenania*
26. *Zdjęcie, Poznań lata 60., Cyryl Cyfrowe Repozytorium Lokalne, Wydawnictwo Miejskie Posenania*

27. *Park Izabeli i Jarogniewa Drwęskich*, fot. Paulina Kirschke
28. *Kazimiera Iłłakowiczówna*, fot. Wydawnictwo Marginesy
29. *Pokój Kazimierzy Iłłakowiczówny*, materiały Muzeum Narodowego w Poznaniu
30. *Legitymacja Kazimierzy Iłłakowiczówny*, fot. Wydawnictwo Marginesy
31. *Zdjęcie trzech tramwajarek*, archiwum IPN w Poznaniu
32. *Dvorek w Wierzenicy*, fot. Dronem, tej! (@dronemtej)
33. *Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu*, źródło: Cyryl Cyfrowe Repozytorium Lokalne, Wydawnictwo Miejskie Poznań
34. *Wanda Modlibowska*, źródło: *Wanda Modlibowska 1909-2001*, monografia, Poznań 2007, Aeroklub Poznański
35. *Gryzelda Celestyna (Celina) z Zamoyskich Działyńska (1804-1883) w młodym wieku*, źródło: Platforma Cyfrowa Biblioteki Kórnickiej
36. *Teofila z Działyńskich Szoldrska Potulicka*, portret, fot. domena publiczna
37. *Powódź, Poznań Chwaliszewo*, źródło: Cyryl Cyfrowe Repozytorium Lokalne, Wydawnictwo Miejskie Poznań
38. *Kwit na bochenek chleba*, zrzut z ekranu, źródło: Wielkopolska Biblioteka Cyfrowa
39. *Anna z Działyńskich Potocka*, fot. domena publiczna
40. *Tytus Działyński*, fot. domena publiczna
41. *Izabella z Czartoryskich Działyńska*, fot. Muzeum Zamek w Gotuchowie
42. *Rzeźba św. Urszuli*, Zamek w Gotuchowie, fot. Paulina Kirschke
43. *Zamek w Gotuchowie*, mat. Muzeum Zamek w Gotuchowie
44. *Izabella z Czartoryskich Działyńska*, fot. Muzeum Zamek w Gotuchowie
45. *Poznańskie Żelazko, Ogrodowa 19*, zdjęcie z XIX wieku, źródło: Cyryl Cyfrowe Repozytorium Lokalne, Wydawnictwo Miejskie Poznań
46. *Poznańskie Żelazko, Ogrodowa 19 współcześnie*, fot. Mikołaj Kirschke
47. *Pocztówka „Posen. Hotel Bazar”* źródło: Cyryl Cyfrowe Repozytorium Lokalne, Wydawnictwo Miejskie Poznań
48. *Aniela Tułodziecka z dziećmi*, zdjęcie z archiwum Michała Michatkiewicza
49. *Oddział pralin i marcepanów, Frenzel i Sp. Fabryka Cukrów i Czekolady. Album przemysłu i handlu Wielkopolski, Prus i Śląska zeszyt I*, Drukarnia Związkowa w Krakowie 1906, Wikipedia, domena publiczna
50. *Fabryka, Album przemysłu i handlu Wielkopolski, Prus i Śląska zeszyt I*, Drukarnia Związkowa w Krakowie 1906, Wikipedia, domena publiczna

Spis treści

Wstęp.....	1
Dobrawa.....	2
Bibianna Moraczewska.....	11
Julia Woykowska.....	17
Izabela Drwęska.....	22
Kazimiera Iłtakowiczówna.....	30
Trzy Działyńskie: Celestyna, Izabela i Anna.....	37
Wanda Modlibowska.....	48
Aniela i Zofia Tułodzieckie.....	54